



**Tatusiowa
Córeczka**

Kasia Ulatowska

Tytuł: Tatusiowa Córeczka
Autor: Kasia Ulatowska

Okładka:
Vectors designed by freepik.com

Redakcja: Irena Kanicka

Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego. Rozpowszechnianie, kopiowanie lub przetwarzanie całości lub fragmentu niniejszej publikacji wymaga pisemnej zgody autora.

Copyright © 2012 Kasia Ulatowska. Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wstęp

Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy mojej teściowej, oddziałowej oddziału psychiatrycznego, gdy powiedziałam jej, że słyszę głos Boga. Spojrzała się na mnie z wymalowanym na twarzy przerażeniem, ale ze spokojem wypracowanym podczas trzydziestu lat wykonywania swojej profesji powiedziała „Tak, tak, oczywiście”. Wiedziałam, że podstawowa zasada dogadania się z szaleńcem brzmi: nie negocjować szaleństwa. Wtedy pomyślałam, że albo zwariowałam, albo spotkało mnie w życiu coś wyjątkowego.

Ktoś, kto przeczyta moją opowieść, może ocenić mnie podobnie. Jeden powie, że to banialuki, inny się wzruszy i pozazdrości mi niezwykłego życia.

Mam na imię Kasia i jestem zupełnie zwyczajną kobietą z czterdziestką na karku, która czasami gdzieś wewnątrz siebie czuje się tak samo zagubiona jak wtedy, gdy miała pięć lat, a tata zapomniał odebrać ją z przedszkola.

Teraz wspomnienia przeżywanych uczuć piszą moją historię.

Pamiętam, że kiedyś bardzo chciałam być jak inne dziewczynki. Marzyłam o tym, aby zawijając na palcu pasmo jasnych włosów powiedzieć: „A mój tata jest najlepszy...”. Niestety, nie było się czym chwalić. Mój tata nie był super bohaterem. Nie miał nawet mocnej głowy i rozkładało go pierwsze pół litra.

Wstydyłam się przez wiele lat. Ukrywałam przed światem pełne strachu dziecko w sobie.

Nauczyłam się, jak być niezależną i twardą. Poradziłam sobie w życiu. Mam wspaniałą rodzinę i jestem szczęśliwa. Tylko czasem śni mi się, że jestem znów mała i opowiadam o moim tacie.

Już nie usiądę na trzepaku z koleżankami ani nie wejdę na starą wierzbę przy naszym blokowisku. Ale mimo wszystko spróbuję nadrobić stracony czas, spełnić swoje dziecięce marzenie i opowiedzieć wszystko jeszcze raz. Już się nie wstydzę, już nie milknę, gdy inne dzieci mówią, że widziały mojego ojca, jak leży przed klatką schodową.

Oto moja historia. Zupełnie zwyczajna – jak ja. Ale też zupełnie niezwykła, jak mój Ojciec. Będę opisywać relację z moim ojcem z krwi i kości oraz z Bogiem, który także jest moim najprawdziwszym Tatą. To spotkanie z Nim było najważniejszym wydarzeniem mojego życia i zmieniło jego bieg. To dlatego, gdy piszę o Nim, piszę Tata z wielkiej litery. Wiem, że mój rodzony ojciec zrozumie, że nie brakuje mi szacunku wobec jego ziemskiej osoby i zadowoli się małą literą, gdy nazywam go swoim tatą. Ale czy da się rozdzielić przestrzeń między ojcostwem krwi i ducha, używając innej czcionki? Mimo wszystko muszę spróbować.

Jak dziewczynka, która skubie rąbek sukienki, stukam w klawiaturę komputera i chwalę się, bezkrytyczna i wpatrzona w Ojca. Wykrzykuję: „Mój Tata jest Bogiem” i w marzeniach przebijam wszystkie licytacje moich koleżanek. Uśmiecham się, wyobrażając sobie, jaka cisza zalega na zielonym trzepaku i zostaję królową podwórka. Jestem księżniczką. Jestem Tatusiową Córeczką.

lutym 2012

Rozdział 1

Dziewczynka z kluczem na szyi

Moja historia zaczyna się całkiem zwyczajnie. Mama – miła nauczycielka z wiejskiej szkoły. Tata – uroczy ratownik na miejskim kąpielisku. Poznali się w czasie kolonii dla dzieci, spotkali kilka razy. I oto jestem, choć nie było mnie w planach.

Mimo konsternacji moja mama postanowiła mnie urodzić. Jako samotna matka w wiejskiej społeczności lat siedemdziesiątych nie miała szans, a jednak bardzo mnie chciała. Gdy sama urodziłam dzieci, zrozumiałam, jak trudną podjęła decyzję. Od kilkunastu lat w Dzień Matki wysyłam do mojej mamy kartkę z życzeniami i dopisuję w P.S. „Dziękuję, że mnie urodziłaś”. Moi rodzice starali się dać mi najlepsze wychowanie. Kochali mnie, jestem tego pewna. Bardzo chcieli stworzyć dom, ale chyba nie bardzo wiedzieli jak. Gdzieś po drodze zgubili siebie nawzajem.

Ten mój prawdziwy dom to mieszkanie na poddaszu kamienicy, gdzie mieszkali moi dziadkowie ze strony ojca. To zadziwiające, jak bardzo zapamiętujemy zapachy i smaki dzieciństwa. Moje dzieciństwo pachnie starymi drewnianymi schodami, którymi szło się do mojej babci. Do kamienicy wchodziło się przez ciężkie rzeźbione drzwi z klamką o wymyślnym kształcie. Chłodny, piwniczny zapach wilgoci, w którym człowiek zanurzał się zaraz po wejściu do korytarza, ulatniał się na ostatnim piętrze, ustępując delikatnemu zapachowi pasty do podłóg. Babcia, z pochodzenia Niemka, lubiła „ordnung”, pastowała nawet schody i strych. Gdyby z zapachów mojego dzieciństwa stworzyć perfumy, to zapach pastowanych podłóg byłby nutą serca. Dodałabym do tego zapach brukowanego podwórka rozpalonego słońcem, spiżarki, do której regularnie wlamywaliśmy się z kuzynami i aromat babcinego „kucha”, czyli dla niewtajemniczonych – ciasta. Te zapachy kojarzą mi się z chwilami bez troski, kiedy byłam tylko dzieckiem.

Drugi dom to było nowe mieszkanie w bloku. Miałam własny pokój i półkę na zabawki. Wózek dla lalek „budę”, pluszowego psa Sabę, który w moich marzeniach udawał prawdziwego i najpiękniejszą na świecie lalkę Magdę, prezent od cioci z zagranicy. Niczego mi nie brakowało. A jednak nie byłam szczęśliwa.

Odkąd pamiętam, w tamtym nowym domu musiałam być tą, która jest odpowiedzialna. Zanim skończyłam przedszkole, umiałam przetrwać rodzinne awantury. W wieku siedmiu lat, gdy mój młodszy brat skończył dwa lata, potrafiłam już doskonale rozpoznać, w którym momencie musiałam stawać między ojcem i matką, żeby mama nie oberwała. Nauczyłam się obojętności na najgorsze wyzwiska, jakie ojciec wykrzykiwał do matki. Byłam zła na bezradność mojej mamy. Wściekła, że ciągle muszę jej bronić. Czułam się odpowiedzialna. Rozpoznawałam kroki ojca na parterze, choć mieszkaliśmy na czwartym piętrze. Wiedziałam od razu, do jakiego stopnia jest pijany. Najbardziej nie lubiłam, jak był tylko trochę wstawiony, bo wtedy był agresywny. Jednak nigdy nie w stosunku do mnie. Potrafił przyjść do domu i gapić się bezmyślnie w telewizor i czekać, aż mama wróci. Wtedy się zaczynało. Stawałam z boku, jakbym była sędzią na meczu. Słuchałam kolejnej awantury i płaczu mamy. W którymś momencie, gdy ojciec rzucał się z pięściami, stawałam jak mur między nim a matką. Nie czułam strachu, wiedziałam, że choćby nie wiem jak pijany, ojciec mnie nie uderzy. Stawałam się żywą

tarczą. Jednak jak żadne dziecko nie stałam się odporna na słowa nienawiści. Nie byłam w stanie zrozumieć frustracji moich rodziców. Za to stawałam się coraz bardziej nieufna.

Raz pobiegłam do sąsiadów i wezwałam milicję. To była ostateczność. Miałam jakieś dziesięć lat i po raz pierwszy przyznałam się przed kimś obcym, że sobie nie radzę. Czekałam w napięciu. Przyjechali dwaj milicjanci. Ze wstydu i strachu schowałam się za zasłonkę w moim pokoju. Potrafię sobie przypomnieć dotyk miękkiej tkaniny, zielonej jak mech. Zawinęłam się w nią jak w kokon. Miałam nadzieję, że nikt mnie nie znajdzie. Jeden z milicjantów dawał upomnienie mojemu ojcu, a drugi mnie zauważył i podszedł do mnie. Pamiętam, jak bałam się tego człowieka w mundurze i jak bardzo miałam nadzieję, że nastraszy mojego tatę. Milicjant tylko stwierdził „Tata pije, co?”. I to było wszystko. W tamtej chwili zaraz po wyjściu milicji już wiedziałam, że nie ma żadnego dorosłego, który może mi pomóc. Byłam sama. Rodzina ojca bagatelizowała sprawę, matka cicho łkała, a milicja nie potrafiła straszyć. W jednej chwili stałam się dorosła, choć miałam najwyżej dziesięć lat.

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że moje dzieciństwo było tylko smutne. Były w nim chwile prawdziwej beztroski. Bieganie z koleżankami po podwórku. Wspinanie się na wierzby przy placu zabaw. Wyprawy na „pachtę” do okolicznych sadów i przesiadywanie na trzepaku w leniwe letnie popołudnia. Jak wszystkie dziewczynki w tamtym czasie, grałam w gumę, w „flonse ma donse flore”, skakałam w linkę, grałam w „osła” (odbijało się piłkę o szczyt bloku i przeskakiwało przez nią, gdy odbijała się od chodnika).

Dzisiaj na wszystkich blokach mojego dawnego osiedla wiszą tabliczki „zakaz gry w piłkę”. Ponoć to jest zbyt głośne dla mieszkańców, ale trzydzieści lat temu nikomu to nie przeszkadzało. Szaleliśmy, ile wlezie, wszędzie tam, gdzie dziś przed blokiem moich rodziców rośnie wypieszczona trawa i świecą białe tabliczki zakazujące chodzenia, biegania, grania. Wzbijaliśmy na podwórku chmury pyłu. Chroniliśmy się pod topolami, które zasadzone długim szeregiem na całym osiedlu szumiały wprost nieziemsko. Do tej pory, gdy przypadkiem znajdę gdzieś topole w parku, nie mogę się oprzeć pokusie i przysiadam na ławce, zamykając oczy. Szum topoli zawsze będzie moją ulubioną kołysanką, działa na mnie jak ciepłe mleko na niemowlę. Gdy wycinali topole przed naszym blokiem, ludzie płakali, ale co zrobić? Ponoć zacięły mieszkania i zaczęły powodować masowe alergię. Ktoś złożył skargę, gdzie trzeba i zaczęła się zagłada drzew. Na osiedlu zaległa cisza. Nie ma już tego szumu drżących liści, nie ma dzieci biegających po boisku. Ile wspaniałych zabaw było ukrytych w cieniu tamtych drzew!

Moja ulubiona zabawa w kwiaciarnię... Z kwiatów zebranych na łąkach, które rozciągały się jak okiem sięgnąć za osiedlem, a które dziś są tylko wspomnieniem ukrytym pod grubą warstwą betonu, robiliśmy bukiety, później sprzedawane na ławce za kilka kamyków.

Robiło się „szkiełka”. Trzeba było odkopać troszkę ziemi. Wysypać ładnym piaseczkiem i poukładać kompozycję z tego, co wpadło w ręce: listki, kamyczki, piórka. Na koniec przykrywało się to szkiełkiem znalezionym gdzieś przy śmietniku i wypolerowanym najlepiej o spodnie albo o rękaw bluzki. Taką miniaturkę zasypywało się ziemią i ukrywało dla potomnych. To był taki dziewczyński sekretnik. Zrobienie go z jakąś koleżanką pieczętowało przyjaźń na wieki, czyli do... następnej kłótni.

Zresztą koleżanki wtedy były najważniejsze. Chłopaki? To jeszcze nie ten czas. Można było z nimi zagrać w „noża”, ale to wszystko. Rysowaliśmy koło na ubitej ziemi, dzieliliśmy je na równe części i wbijaliśmy harcerską finkę w pole sąsiada. Wygrywał ten, kto zagarnął najwięcej pola.

To cud, że nikt z nas nie poobcinał sobie paluchów ani się nie okaleczył. Chłopcy mieli swoją inną, bardzo szowinistyczną grę. Kapselki. Zagrać w kapsle z dziewczyną na moim podwórku to był prawdziwy obciach. Wiadomo, bali się przegrać!

Niewiele nam było potrzeba do szczęścia. Ale cóż, ja dorastałam w czasach, gdy szczytem elegancji były poustawiane na meblościankach puszki po zagranicznych piwach. Te szczęśliwe chwile mojego dzieciństwa mają smak gumy Donald i oranżady z woreczka.

Pod wieloma względami moje życie nie różniło się wtedy od życia moich rówieśników. Chodziłam do szkoły. Zaliczałam sprawdziany. Po lekcjach rzucałam torbę z książkami i biegłam na podwórko. Bawiłam się, aż do chwili, gdy gdzieś w okolicach wieczorynki z okien wychylały się głowy rodziców, nawołujących głośno swoje dzieciaki. Kolejno moje koleżanki były wołane przez swoje mamy do domu, ale mnie nikt nie wołał. Niedawno rozmawiałam z moim młodszym bratem, teraz już poważnym facetem, ojcem dwójki dzieci i on też to zapamiętał. Nikt nas nie wołał. Nikt nas nie szukał. Moglibyśmy być na podwórku całą noc i nikt by tego nie zauważył. Wracaliśmy do domu nie dlatego, że ktoś na nas czekał, tylko dlatego, że nie było się z kim bawić.

Alkohol nie był też jakimś wyjątkowym problemem w tamtym czasie. Kilka moich koleżanek miało podobne problemy ze swoimi ojcami. Ludzie pili na maksa. Bywało, że zaczynali pić już w czasie pracy. To nie było jakieś niezwykle. Rodzinne dramaty, alkoholizm, pobicia, to wszystko kryło się za zamkniętymi drzwiami naszych domów. O tym się nie mówiło. Dzieci były wtedy szczególnie bezbronne i bezradne. Nie było rzeczników praw dziecka i pomocy psychologicznej. Szczęście miały te dzieciaki, które mogły mieć oparcie w rodzinie, choćby w jednym rodzicu. Większość moich koleżanek wracała do domów, gdzie mama czekała z obiadem i sprawdzała lekcje. Myślę, że to kobiety były prawdziwą siłą tamtej socjalistycznej rzeczywistości. Jeśli coś było normalne, to zazwyczaj dzięki mądrości i odporności matek. Niestety moja mama pracowała na dwa etaty, żeby utrzymać dom i nas. Ojciec przepijał całą wypłatę i zostawała tylko pensja mamy. Dzięki temu, że mama miała dwie prace, w sensie materialnym nigdy nam niczego nie brakowało, jednak ogromny minus był taki, że wracała dopiero późnym wieczorem. A ponieważ moja mama nie jest typem gospodyni domowej i zdecydowanie nie potrafi gotować, od zawsze w kuchni rządził tata. Jeśli był trzeźwy, był obiad. Jeśli pił, to znaczyło, że w domu nie będzie obiadu przez wiele dni. Dlatego dostawałam pieniądze na zupełną w barze mlecznym na rogu, a potem gdy brat na stałe zamieszkał z nami w domu, po tym jak przez kilka pierwszych lat mieszkał u dziadków na wsi, zaczęłam gotować sama obiady. Gdy miałam jedenaście lat, musiałam już troszczyć się o nas dwoje. W tamtym czasie z dziecka zaczęłam zmieniać się w niezależną nastolatkę. Dorastałam obarczona poczuciem odpowiedzialności przekraczającym moje możliwości. Czułam się samotna i pozostawiona sama sobie.

Zanim skończyłam piętnaście lat, przestałam wierzyć w miłość. Mój ukochany dziadek Franek zmarł kilka lat wcześniej. Był jedyną osobą, o której wiedziałam, że mnie kocha bezwarunkowo. Dla niego zawsze byłam „jego Kasią”. Kochałam jego krzaczaste brwi, które łaskotały mnie, gdy mnie przytulał i zapach nawoskowanych włosów, zaczesanych gładko do tyłu. Jego wodę kolońską do dziś dnia rozpoznałabym bez chwili wahania. Był jednym z niewielu ludzi z mojego dzieciństwa, którego dotyk pamiętam. To jego kolana zapamiętałam jako najbezpieczniejsze miejsce na świecie. Wraz z nim umarła moja miłość.

Jedynym, co mi pozostało po moim Dziadku, to stare krzesło, które podróżuje ze mną po wszystkich mieszkaniach, do których się przenoszę. To krzesło wcześniej przetrwało wojnę w podmiejskim pałacyku i wylądowało ostatecznie na strychu dziadków. Gdy z moimi kuzynami bawiliśmy się w chowanego, dziadek przysiadł na tym krześle. Ponieważ byłam najmłodsza, zawsze ukradkiem pokazywał mi, gdzie schowały się starsze dzieci. Gdy po śmierci Babci moje ciotki spytały, co chciałabym zabrać na pamiątkę z tamtego domu, nie zastanawiałam się ani chwili. Patrzyły na mnie jak na wariatkę, gdy wywlokłam ze strychu rozklekotane krzesło. Jak im wytłumaczyć, że nie chodzi o mebel z załatanym siedziskiem przemalowanym naprędce olejną farbą w kolorze pistacji, tylko o wspomnienia chwil, kiedy byłam kimś chronionym i wyjątkowym.

Zostałam sama. Byłam już „Kasią niczyją”. Zaczęłam szukać ucieczki. Dwa lata minęły na ciągłych eksperymentach. Paliłam, piłam, klęłam jak szewc, byłam dziewczyną, której nikt nie wcisnął kitu. Wszystko musiałam mieć pod kontrolą, inaczej czułam, że zupełnie się gubię. To była końcówka lat osiemdziesiątych. W Polsce – przemiany i wielkie nadzieje, ale ja myślałam tylko o sobie. Życie bolało tak bardzo. Gdyby ktoś wtedy zapytał mnie, czego pragnę najbardziej, odpowiedziałabym, że chciałabym odnaleźć siebie. Zaczęłam brać leki przeciwbólowe, całe opakowania, i nie pytałam „lekarzy lub farmaceutów”. Nawet jeśli to szkodziłoby mojemu życiu lub zdrowiu, to nic, jeśli na chwilę zapominałam o bólu. Jednak to nie pomagało na chorą duszę. Nie ma takiego leku, który pomoże na zranione serce. Nie ma suplementu miłości. Żaden Rutinoskorbin jej nie zastąpi.

Nie lubiłam dotykać innego człowieka. Gdy ktoś przyjaźnie klepnął mnie w ramię, aż się wzdrzyłam. Jazda w zatłoczonym autobusie to była dla mnie katastrofa. Nie lubiłam patrzeć komuś w oczy. Ludzie myśleli, że jestem wyniosła, ale ja się bałam, że ktoś zobaczy w moich oczach strach. Ubrana cała na czarno, z rękawami swetrów wyciągniętymi od ciągłego ukrywania w nich dłoni. Włosy obcięte na zapałkę. Nic dziewczynskiego, żadnych ciuszków, kicuszków i fatałaszków. Kobiety były słabe, płakały zamiast się bronić. Ja nie chciałam być słaba. Miałam kumpli. Z koleżankami jakoś średnio się dogadywałam.

O dziwo, byłam lubiana pomimo moich dziwactw. Wśród ludzi głośna i odważna, gdy przychodziłam do domu, zdejmowałam swoją maskę jak płaszcz w przedpokoju. Pisałam wiersze, malowałam, wzruszałam się słuchając muzyki, uwielbiałam czytać. Dwie osoby we mnie dobrze wiedziały, kiedy jest ich czas. Ukrywały się przed sobą. Ale jednej rzeczy nie potrafiła żadna część mojej osobowości. Nie umiałam marzyć. Odarłam samą siebie z nadziei, że w życiu spotka mnie coś dobrego.

Gdy miałam 16 lat, chciałam zobaczyć, czy komuś z moich bliskich na mnie zależy. Brałam leki halucynogenne, które z łatwością można było kupić w każdym kiosku „Ruchu” (nie podaję nazwy, żeby nie robić niepotrzebnej reklamy) i spałam dwa dni. Żadnych pytań. Wyszłam w piątek do szkoły, wróciłam w niedzielę. Żadnych pytań. Doszłam do wniosku, że nikogo nie obchodzi.

Z tamtego czasu pamiętam przejmującą samotność. Pamiętam pewien jesienny dzień, kiedy stałam w oknie i patrzyłam, jak ludzie szybko przemykają uciekając przed deszczem. Pochyleni pod parasolami, wspinali się po schodach przed moim blokiem. Nikt nie spojrzął w górę, nikt nie pomachał. Wtedy prawie namacalnie poczułam, jak nienawiść narasta we mnie jak dzika furia. Najbardziej na świecie nienawidziłam mojego ojca. Za wstyd i upokorzenia. Za bezsilność i

złamane obietnice. Za to, że gdy błagałam go, żeby już nie pił, on musiał dokończyć otwartą butelkę.

Już nie byłam grzeczną córeczką, która stoi, obserwując awantury. Nienawiść sprawiała, że bez trudu radziłam sobie w konfrontacji z pijanym ojcem. Choć mój tata był dużym facetem, potrafiłam odepchnąć go i przewrócić. Gdy ostatni raz uderzył mamę, miała szyty łuk brwiowy. Postanowiłam, że to nigdy się nie powtórzy. Im dalej posuwałam się, broniąc mamy, tym bardziej czułam, że tracę panowanie nad sobą. Tak jakby w pewnym momencie ktoś przełączył mnie na autopilota. Zaczynałam bać się sama siebie. W tych chwilach zdolna byłam kogoś zabić. Zachowywałam się jak rekin, który wpada w amok, gdy czuje krew.

Miałam żal do mamy. W normalnym życiu nie była typem ofiary. Była niezależna, ładna i zaradna. Byłam z niej dumna, gdy wracała z pracy w modnej sukience i starannie zrobionej fryzurze. Ale gdy przekraczała próg domu, ona też, podobnie jak ja, zdejmowała maskę. Stawała się bezbronna. Nie mogłam jej wybaczyć, że aby uniknąć kolejnej awantury, zabierała płaszcz i wychodziła z domu. Ojciec cichł, bo nie miał z kim się kłócić, ale nic nie mogłam poradzić na to, że czułam się opuszczona. Porzucana prawie każdego dnia. Od nowa. Ojciec zasypiał, ale mama nie wracała. Coraz częściej wracała dopiero rano. Byłam zbyt zaślepiona nienawiścią do ojca, żeby zobaczyć, że mama ucieka, żeby pić. Zrozumiałam to późno, zbyt późno.

Rozdział 2

Spotkanie

Nie lubię religijności. Nie lubię tej zaciekłości, którą widać w oczach. I nic nie pomoże ugrzeczniona gadka pełna sloganów. Po prostu. Nie lubię religijności w każdym wydaniu. A jednak Kocham życie z Bogiem. Takie normalne, codzienne przebywanie. Małe gesty i uśmiechanie się do nieznajomych. Modlitwę, która jest rozmową. Nauczyłam się cenić prostotę zwyczajnego życia i znajdować nadzwyczajność tam, gdzie nikt się jej nie spodziewa. A wszystko, co uczyniło mnie szczęśliwą, zaczęło się od jednego „zwykłego” spotkania.

Miałam siedemnaście lat. Zaczynałam zastanawiać się nad sensem życia i zadawać egzystencjalne pytania. Otaczałam się ludźmi, którzy byli podobnie „pokręceni” jak ja. Szukaliśmy życiowej mądrości w wierszach Stachury, tekstach Dżemu i Kobranocki. Moja przyjaciółka Roma, jedyna przyjaciółka, zaczęła czytać Biblię i przebąkiwać coś na temat Boga. Patrzyłam na nią jak na kosmitkę. Wkurzała mnie, ale zbyt mocno ją kochałam, żeby jej to powiedzieć. Kiedy mówiła o wierze, natychmiast zmieniałam temat. Starłam się za wszelką cenę nie wracać do tych świętoszkowatych rozmów. Nie chciałam nawet myśleć o Bogu. W moim życiu nie było miejsca na czułośćkowość. Miłości przecież nie było! Roma nie przestawała interesować się metafizyką. Czytała „Życie po życiu” i inne wkurzające mnie bzdury. Bardzo bałam się, że za chwilę stracę jedyną prawdziwą przyjaźń w moim życiu. Roma była jedyną osobą, do której miałam zaufanie.

Pewnego dnia moja przyjaciółka zaczęła nalegać, żebyśmy odwiedziły jednego z naszych wspólnych znajomych. Tak naprawdę nie wiedziałyśmy nawet, jak ma na imię. Miał śmieszna ksywkę i lubił balować bardziej niż my. Był zbuntowany, nosił długie włosy i na niczym mu nie zależało.

Któregoś razu wprawił nas w zdumienie, gdy spotkałyśmy go przypadkiem w jakimś sklepie. Włosy krótko przycięte, grzecznie ubrany, spod ciemnego swetra wychodził kołnierzyk białej koszuli... Wyglądał jak uczeń liceum na przerwie. Byłyśmy zszokowane. Widzieliśmy się kilka miesięcy wcześniej, ale w zdecydowanie mniej poprawnych okolicznościach. Pamiętam tylko, że głupio zapytałyśmy „Cześć! Co ci się stało?”. Tak jakby tylko coś absolutnie dramatycznego mogło wywołać w nim taką zmianę. Myślałyśmy: „może ma raka albo zwariował”.

Roma ciągle nalegała, żeby go odwiedzić. Nie mogłyśmy znaleźć żadnego pretekstu, więc po prostu kupiłyśmy dwie puszki piwa (wtedy nikt nie sprawdzał dowodu przy kupnie alkoholu lub papierosów) i postanowiłyśmy pójść do niego. Pod drzwiami jego domu spojrzaliśmy na siebie i wiedziałyśmy, że żadna z nas nie odważy się nacisnąć dzwonka.

Uciekłyśmy.

Z poczuciem porażki minęłyśmy pierwszy zakręt i wpadłyśmy prosto na niego. W końcu dowiedziałyśmy się, jak ma na imię, pokazałyśmy te nasze nieszczęsne piwa i przyznałyśmy się, że jesteśmy ciekawe, czy u niego wszystko w porządku. Zaproponował, że odprowadzi nas do domu. Zaczęliśmy rozmawiać i Roma była w siódmym niebie. Okazało się, że Marcin zaczął wierzyć w Boga, czytać Biblię i nie, nie został Świadkiem Jehowy. Moja przyjaciółka mieszkała bliżej niż ja. Im bliżej byliśmy jej domu, tym mniejszą miałam nadzieję, że temat zmieni się na jakiś normalny. Marcin opowiadał, że przeżył coś, co nazywał „nawróceniem”. Rzucił jak z rękawa wersetami Biblii i miał na wszystko odpowiedź. Rozstaliśmy się z Romą i już nic nie mogło mnie ochronić przed rozmową z nim sam na sam. Uparł się, żeby odprowadzić mnie pod sam dom. Czekalo mnie jakieś dziesięć minut koszmaru. Zaczęliśmy dyskusję, która stawała się coraz bardziej gorąca. Nie byłam osobą, która potrafi przyznać rację. Krążyliśmy po osiedlu i gadaliśmy. Na wszystkie jego argumenty znajdowałam jakieś „ale”. Nie potrafiłam uwierzyć w Boga, który zmienia życie i który jest zainteresowany ludźmi. Mówiłam Marciniowi „daj mi jakiś dowód”, ale żaden kolejny argument nie wydawał mi się wystarczający. Po ośmiu godzinach rozmowy poczułam, że triumfuję. Coraz częściej słyszałam „nie wiem” i „być może”. Myślałam, że zaraz Marcin przyzna mi rację. Zapuści na nowo swoje dredy, zmieni swoje zwyczajne ubrania na strój buntownika i poprosi o papierosa. Zamiast tego usłyszałam „wiem tylko, że Jezus Cię kocha”.

To było jak strzał między oczy. Miałam wrażenie, że pierwszy raz w życiu moje myśli zaczęły układać się w jeden logiczny ciąg, przelatując przez moją głowę z prędkością błyskawicy. W jednej chwili zrozumiałam, że właśnie w tym prostym stwierdzeniu ukrywa się argument, któremu nigdy nie sprostą mój intelekt. Miłość na śmierć i życie!

To było to, czego pragnęłam z całego mojego serca. Po ośmiu godzinach rozmowy wiedziałam, że Jezus poszedł na krzyż, bo kochał ludzi. Jego śmierć była zastępczą ofiarą za nasze grzechy. Znałam fakty, ale nigdy nie przeszło mi przez głowę, że Jezus umarł z miłości do MNIE. Wiele osób potrafi mówić – kocham cię tak mocno, że mógłbym oddać za ciebie życie. Ale Jezus nie mówił, On to ZROBIŁ.

Spojrzałam na Marcina i nie miałam żadnych pytań. Przez chwilę przyglądał mi się nieufnie, przygotowując się do tego, że go wyśmieję. Ale ja byłam już innym człowiekiem. Moje życie jakby stanęło na głowie. To było zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Wiedziałam na pewno, że od

tej chwili nie będę taka sama, bo jest jednak ktoś na świecie, kto mnie kocha. W jednej chwili opuściła mnie sarkastyczna pewność siebie, już nie musiałam się bronić. Uwierzyłam, jakby wbrew sobie i zapragnęłam nigdy nie stracić tego cudownego uczucia nadziei. Poczułam się tak, jakbym w końcu się odnalazła. Jak zagubione dziecko, które ktoś bierze na ręce i obiecuje, że zanieśnie je do domu.

I znów zaczęliśmy rozmawiać, ale już inaczej. Ja pytałam, jak żyć z tym, co się właśnie stało, on odpowiadał, tłumacząc wszystko jeszcze raz od nowa. W którymś momencie poszedł do nas pijany facet. Zaczął nas zaczepiać, zapraszać do siebie na wódkę. Nie mogliśmy się go pozbyć. Wiedziałam, jak należy się zachować w takiej sytuacji. Wystarczyłoby po prostu puścić zwyczajną „wiązankę”. Wtedy facet położyłby uszy po sobie i poszedł. Umiałam sobie radzić z pijakami. A jednak stałam zupełnie oszołomiona i raz po raz mówiłam do tego faceta: „Czy pan wie, że Jezus pana kocha?”. Wydawało mi się, że znalazłam objawienie — tajemną formułę, która ma wpływ na wszystko, co się rusza. Pijany człowiek był jednak na nią dziwnie oporny i po dłuższej chwili machnął tylko ręką z politowaniem i poszedł dalej.

Był 10 listopada 1990 roku. Pierwszy dzień mojego nowego życia. Dostałam moją pierwszą Biblię — kieszonkową wersję Nowego Testamentu. Wzięłam tę małą książeczkę i naiwnie obiecałam Marcinowi „jak przeczytam, to ci oddam”. Gdy przyszłam do domu, otworzyłam ją na chybił trafił. Pierwsze miejsce, na jakie padł mój wzrok, to były słowa: „Miłość jest cierpliwa, miłość jest dobrotliwa, nie zazdrości, nie nadyma się, nie postępuje nieprzystojnie, miłość wszystko znosi...”

I nagle wszystko wokół mnie zawirowało. Miałam ochotę krzyczeć na całe gardło, że ktoś mnie pokochał. Zupełnie jak w starej piosence „wszystko mi mówi, że mnie ktoś pokochał...”. W tamtej chwili poczułam, jak pęka mur nienawiści, którym się otaczałam. Miałam dowód, że jestem kochana. Byłam szczęśliwa.

W tamtym czasie nie przyszło mi do głowy, że Marcin może należeć do innego wyznania. Przez miesiąc godzinami rozmawialiśmy, ale nigdy nie wspominaliśmy o żadnym kościele. Byłam tak spragniona słuchania o Jezusie. Chciałam o Nim wiedzieć wszystko. Nie rozstawałam się ze swoim Nowym Testamentem, czytałam go na przerwach w szkole, w autobusie, w domu zamykałam się w pokoju i czytałam godzinami. Miałam tyle pytań. Marcin odpowiadał mi, jak umiał. Po miesiącu Marcin zapytał, czy się modlę. „O, tak” — odpowiedziałam — „codziennie mówię Zdrowaś Maryjo, Ojciec nasz i Aniele Boży”. Nie mówiłam mu, że tak naprawdę codziennie wieczorem klękałam na kolana i mówiłam te wszystkie modlitwy, a potem w kółko powtarzałam „Ojciec nasz”, aż zasypiałam ze zmęczenia. Nie wiedziałam, jak inaczej mogę wyrazić moją wdzięczność za całe to dobro i nadzieję, które odnalazłam. Marcin tylko głośno wciągnął powietrze. Nie powiedział, że robię źle, nie skrytykował mnie. Za to powiedział mi, że mogę modlić się do Boga własnymi słowami, że mogę mówić Mu o tym, co myślę i czuję, że mogę dziękować za wszystko. Byłam pod wrażeniem. Na początku czułam się dziwnie, ale słowa w końcu popłynęły; już nikt nie potrafiłby zatrzymać tego potoku słów, które wylewałam z siebie. Miałam kogoś, kto mnie kochał i kto był mną zainteresowany, każda moja myśl i słowo były wysłuchane. Nie mogłam uwierzyć, że mam tyle szczęścia.

Nie potrzebowałam żadnego kościoła. Bałam się, że gdy będę między ludźmi, to stracę to poczucie intymnej więzi. I choć to dziwne, nigdy nie rozmawiałam z Marcinem na temat jego

wyznania. On sam mówił o sobie, że jest chrześcijaninem, a mi to wystarczało. Roma była bardziej dociekliwa i po miesiącu prawie siłą zaciągnęła mnie do kościoła, do którego chodził nasz kolega. Weszliśmy do małej kaplicy Kościoła Ewangelicznych Chrześcijan. W osłupienie wprawili nas ludzie, którzy podawali nam dłonie na powitanie. To było bardzo dziwne. Potem były śpiewy i kazanie. Przeraziły mnie modlitwy, gdy ludzie po kolei modlili się własnymi słowami. Bałam się, że my też będziemy musiały się pomodlić. Pastor miał brodę i wyglądał trochę jak starozakonny rabin, więc zaraz po nabożeństwie uciekłam stamtąd. Jednak w następną niedzielę znów tam poszliśmy.

Po kilku tygodniach dylematów postanowiłam porozmawiać z moim katechetą o nowym kościele, który coraz bardziej mi się podobał. Ksiądz Andrzej zrobił dla mnie więcej, niż musiał. Wziął mnie na „wagary” do pokoju nauczycielskiego i wyspowiadał. Wysłuchał mnie cierpliwie, a później na moje pytania, co mam robić i gdzie być, powiedział jedno zdanie, które zapadło mi głęboko w serce „Dziecko, idź tam, gdzie cię Duch Święty prowadzi”. Żadne słowa nie oddadzą tego, jaki respekt i wdzięczność odczuwam po dziś dzień do tego człowieka o dobrym i kochającym sercu. Mógł mnie wpędzić w poczucie winy albo nastraszyć, ale zamiast tego okazał mi zrozumienie. Zaprosił mojego pastora na lekcje religii i przywitał go jak rodzzonego brata. Nigdy nie sprawił, żebym czuła się w swojej klasie gorsza lub potępiona. Z anielską cierpliwością znosił moje nie zawsze uprzejme dociekania. Ten zakonnik nauczył mnie, czym jest prawdziwa ekumenia, choć nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy.

Wybrałam Kościół Ewangeliczny. Wkrótce zostałam poinstruowana, że muszę zapuścić włosy, nosić spódnicę i przestać się malować. Przez kilka lat nakrywałam głowę podczas modlitwy. Przyjęłam te wszystkie zasady, tak jakbym otrzymała je w pakiecie ze zbawieniem. Najtrudniejsze było dla mnie chodzenie w spódnicy. Czułam się jak przebrana za kogoś innego, ale pomyślałam tylko „jeśli chrześcijanki muszą chodzić w kieckach to ok, da się zrobić”.

Mimo całej tej ortodoksyjnej otoczki nie wspominam źle tamtego kościoła. Choć dziś wierzę inaczej, to pozostał mi sentyment do chwil spędzonych z przyjaciółmi.

Rozdział 3

Ojciec

Byłam zakochana w Jezusie. Wiedziałam, że On mnie kocha. W końcu udowodnienie tego kosztowało Go życie. Byłam Mu taka wdzięczna. Nie byłam jednak w stanie zrozumieć Boga Ojca. Jak mógł pozwolić, aby Jego Syn zginął? Jak mógł spokojnie przyglądać się, jak umierał? Przypisałam Bogu obojętność mojego ojca. Przestałam modlić się „Ojcze nasz”, bo nie wierzyłam w to, że Ojciec jest zainteresowany swoimi dziećmi. Skoro nie uratował Jezusa, to dopiero obchodzi Go taka zwykła Kasia. Wydawało mi się, że Jezus jest podobny do mnie, gdy muszę interweniować w domowe awantury. Dorośli, gdy sobie nie radzą, zawsze zastaniają się dziećmi. Myślałam, że być może Bóg nie jest wyjątkiem. To Syn musiał przyjść i wszystko naprawić.

Poznałam też Ducha Świętego. Choć może to dziwnie brzmi, usłyszałam, jak mówi do mnie.

Zacząło się od jakiegoś mojego dylematu. Nie pamiętam już, o co chodziło. Rozmawiałam z moim liderem młodzieżowym i pytałam go o zdanie. Nie potrafił mi odpowiedzieć, za to dał mi radę, którą w swojej naiwności potraktowałam dosłownie. Powiedział pompatycznie „Musisz słuchać Pana!”. No więc poszłam do domu i zrobiłam dokładnie tak, jak powiedział mi mój doświadczony przyjaciel. Zamknęłam się w pokoju, zgasłam światło i słuchałam. Minęła godzina, dwie, trzy, a ja siedziałam w ciemności i słuchałam... ciszy. Tak robiłam codziennie przez następne dwa lub trzy tygodnie. Nie kwestionowałam rady mojego lidera, jeśli mówił, że mam słuchać Pana, to dokładnie to robiłam. Po tym czasie Bóg do mnie przemówił, rozwiązał mój problem i wiedziałam, co mam zrobić. To było takie normalne. Nie widziałam w tym nic nadzwyczajnego. Byłam przekonana, że właśnie tak wszyscy chrześcijanie rozwiązują swoje dylematy. Gdy powiedziałam do mojego lidera „Bóg mi odpowiedział i już wiem, co zrobić”, zrobił oczy wielkie jak stare pięciozłotówki z rybakim. Dopiero wtedy usłyszałam od mojego pastora, że to, co właśnie mnie spotkało, nie powinno się wydarzyć, ponieważ Bóg tak nie robi od czasów pierwszych Apostołów. Dary Ducha Świętego przeminęły i Bóg już nie mówi do nas. Tylko, że ja wiedziałam, że to był Bóg, a nie moje przywidzenia i żadne argumenty nie były w stanie sprawić, żebym przestała pragnąć rozmawiać z Bogiem. Trzy lata później w moim ultra ortodoksyjnym kościele zaczęliśmy doświadczać manifestacji Ducha Świętego. Mówiliśmy językami, prorokowaliśmy, modliliśmy się o uzdrowienie i uwolnienie. To było cudowne, szalone i niesamowite doświadczenie. Już nikomu nie wydawało się dziwne to, że słyszę Boga, bo słyszał go każdy z nas. Wiedziałam więc dobrze, jaki jest Duch Święty, bo Go doświadczyłam.

Pięć lat po moim spotkaniu z Jezusem, gdy już wydawało mi się, że pozjadałam wszystkie rozumy i jestem specjalistką od Biblii, spotkało mnie coś, co po raz drugi wyrzuciło mój świat do góry nogami. Siedziałam w swoim pokoju i próbowałam ułożyć słowa do melodii nagranej przez moich przyjaciół. Mieliśmy taki zespół, trochę dla zabawy, a ponieważ miałam mocny głos, byłam wokalistką. To nie było nic wielkiego. Taka mała muzyczna przygoda. Sami układaliśmy swoje piosenki, a mi przypadło pisanie tekstów. Tak więc słuchałam chyba po raz setny melodii w rytmie bossa novy i próbowałam coś z siebie wykrzesać, ale brakowało mi pomysłu. Wtedy usłyszałam, jak do domu wchodzi mój tata i zatacza się na drzwi mojego pokoju. Już chciałam poderwać się i wyskoczyć na korytarz, rozczarowana i zła, gdy usłyszałam głos w środku mojego serca. Cichy i czuły. Powiedział: „Jestem twoim Ojcem. Nigdy cię nie zawstydzę. Nigdy nie przyjdę do ciebie pijany”. To była obietnica, jaką zawsze chciałam usłyszeć. Moje lekarstwo na przejmujący wstyd. Wtedy zrozumiałam, że jeśli mogłam zaufać Jezusowi, to mogę też spróbować zaufać Jego Ojcu.

Mój ojciec leżał pijany gdzieś w domu, a ja siedziałam spokojna jak nigdy dotąd. Poczułam się tak, jakbym została zaadoptowana przez kogoś, na kim mogę polegać i czuć się bezpiecznie. Wtedy słowa jakby same popłynęły i ułożyłam piosenkę o tym, kim jest Tata. Nie jest to dzieło sztuki, ale to prawdziwy zapis tego, co się stało w moim sercu. Bo cała moja dusza zaśpiewała. Tata mnie znalazł, a ja odnalazłam Jego.

*Po wilgotnej rosą trawie
deptam lekko bosą stopą.
W tańcu podniesione dłonie
“Ojcze nasz...”*

Ja dla Ciebie jestem dzieckiem, a Ty kochasz mnie jak Ojciec,

*Nie odtrącisz, nie opuścisz nigdy mnie.
Ty nie zmieniasz nigdy zdania, karzesz tylko sprawiedliwie,
W cierpliwości nie dorówna Tobie nikt.
I nie zbywasz mnie milczeniem, czas masz zawsze na rozmowy,
Kiedy płacząc mówisz szeptem „Kocham Cię”.*

*Ojcze nasz, co jesteś w niebie,
Święć się Imię Twe na wieki.
W Twym Królestwie czeka na mnie dom.
Ojcze nasz, co jesteś w niebie,
Prowadź nas na Swoich drogach,
Tylko Twoja chwała jest i moc.*

*Ojcze kołysz mnie, gdy senność,
Osłoń nocą od koszmarów,
Pragnę z Tobą zawsze witać nowy dzień.
Bądź mi bliskim przyjacielem i ostoją w dni samotne.
Smutek zawsze lecz radością, utul mnie.
Ucz mnie kochać swą miłością, wrogów moich i przyjaciół,
Od złych słów i nienawiści uchron mnie.
Jeśli grzechem Cię zasmucę, nie karz, proszę, nigdy ciszą,
Serce napełń mi pokorą, przebacz mi.*

*Po wilgotnej rosą trawie,
Tańczę z zamkniętymi oczu i próbuję Ci wyśpiewać
“Kocham Cię”
Ojcze, kocham Cię...*

Tego dnia rozpoczęła się moja przygoda, która trwa po dziś dzień. Poznawanie Taty to zajęcie na całą wieczność. Będę opisywać mojego Tatę, ale nie myśl, że On jest tylko mój. Ma wiele dzieci. Miliony. A jednak każdy może czuć się Jego jedynakiem. Jak to możliwe, nie wiem, ale tak właśnie jest. Ja jestem Jego córeczką, Jego oczkiem w głowie, Jego miłością. Moim marzeniem było mieć Tatę, którym będę mogła się chwalić. Teraz moje marzenie się spełnia. Jestem jak mała dziewczynka, która siedzi na progu swojego domu i mówi „opowiem Ci o moim Tacie”.

Rozdział 4

Dom

Miałam dwadzieścia dwa lata. Kończyłam dzienne studium medyczne. Marzyłam o własnym mieszkaniu. Moje konflikty z ojcem nabrały już takiej temperatury, że bałam się, że któregoś razu nikt mnie nie zatrzyma i zrobię mu krzywdę. Cierpiałam. Przecież jako chrześcijanka powinnam być przepelniona miłością... Ale nie umiałam

zapanować nad niechęcią i wstydem. Czasami gdy tata był już nieprzytomny, było mi łatwiej zatroszczyć się o niego.

Któregoś razu zaprosiłam do domu kolegę. Bardzo go lubiłam, nawet bardziej niż bardzo, jeśli mam być szczerą. Szliśmy do mnie na herbatę, rozmawialiśmy, było miło, ale nagle okazało się, że nie mogę wejść do domu. Pchałam drzwi wejściowe, ale coś blokowało je z drugiej strony. Czułam, że razem z drzwiami pcham coś ciężkiego. Weszłam do przedpokoju, a tam mój ojciec leżał pijany, z twarzą we własnych wymiocinach. Romantyczność diabli wzięli! Razem z kolegą położyliśmy go na łóżku. i jedyne, co mogłam zrobić, to umyć go i zdjąć z niego brudne rzeczy. Mój kolega podziękował za herbatę i zniknął, co w tych okolicznościach było zrozumiałe — niewiele osób wie, co w takiej chwili zrobić lub powiedzieć. Ojciec pomruczał tylko coś pod nosem i zasnął.

Innego razu zadzwonili wieczorem ze szpitala. Byłam sama w domu. Powiedzieli, że przywieźli pijanego pana z podejrzeniem zawału. Sprawdzili w jego dokumentach nazwisko i adres, ale wbrew temu, co było zapisane w dowodzie, pan uparcie twierdzi, że nazywa się Piotrowski. Czy mogę natychmiast przyjść do szpitala, żeby potwierdzić jego tożsamość. Za kilkanaście minut stałam zdyszana przy drzwiach na salę kardiologiczną w starym szpitalu. Słyszałam głos ojca, jak wyklócał się z pielęgniarką, podając cudze nazwisko. Weszła lekarka i zapytała go stanowczym głosem „Czy to jest pana córka?” Mój tata podniósł wzrok i nasze spojrzenia się spotkały. Patrzyliśmy sobie głęboko w oczy. Bez słowa. Lekarka spytała mnie, czy to jest mój ojciec. Skinęłam głową i wyszłam na korytarz. Stałam na klatce schodowej przy oknie i próbowałam uspokoić drżenie całego ciała.

Były też sytuacje, w których nie byłam taka opiekuńcza. Jedna z nich naprawdę mnie przerażała. Było sobotnie przedpołudnie i tata wrócił podпиты. Był bardzo agresywny. Jak tylko zobaczył mamę krzątającą się po domu, zaczął wrzeszczeć całą swoją litanie. Mama znieruchomiała jak marionetka, której ktoś podciął sznurki. Zwieszona głowa, zgarbione plecy, ręce zwieszane bezradnie wzdłuż ciała. Wraz z pierwszym krzykiem moja mama zmieniła się w ofiarę. Stała w drzwiach łazienki, gdy ojciec chwiejąc się na nogach, podtykał jej palec wskazujący przed twarz. „Jesteś szszszmata” — powtarzał raz za razem. Gdy mama próbowała coś powiedzieć, wpadł w szal. Stałam w progu mojego pokoju. Choć byłam już dorosłą kobietą, to moje zachowanie niczym się nie różniło od tego, co robiłam jako pięcioletka. Obserwowałam wszystko i chłodno kalkulowałam, kiedy będę musiała wejść między rodziców. Zimnym spojrzeniem pełnym politowania patrzyłam na tę scenę, opierając się plecami o framugę drzwi swojego pokoju. To był mój stały punkt obserwacyjny. Trampolina, z której wskakiwałam prosto pomiędzy słowa nienawiści. Pierwszy ruch, gdy wyciągnięty palec ojca zmieniał się w zaciśniętą pięść, był sygnałem, na jaki zareagowało natychmiast moje ciało. Wyrwałam się do przodu, zasłaniając mamę. Tata wpadł w szal. Napierał coraz bardziej, wykrzykiwał przekleństwa. Coś we mnie pękło. Wściekłość jakby zalała mi oczy. Chwyciłam mojego ojca i wepchnęłam do dużego pokoju. Weszłam do środka i zamknęłam drzwi. Stałam przed ojcem gotowa na wszystko. Byliśmy tylko on i ja. Za plecami miałam dużą żółtą szybę oszklonych drzwi, a przed sobą ojca, który patrzył na mnie tak, jak bym była powietrzem. Próbował mnie odsunąć i wyjść z pokoju. Wrzeszczał. Zareagowałam natychmiast i odruchowo odepchnęłam go od siebie. Nie wiem, skąd miałam tyle siły, ale ojciec przeleciał przez pokój i upadł na drzwi balkonowe, wybijając głową jedną z szyb. Upadając wybił sobie palec, który był nienaturalnie wygięty. Mam tę scenę przed oczami, jakby to się stało wczoraj. Ojciec siedzący na podłodze z raną na głowie, sam

nastawiający sobie palec. Horror. Pamiętam swoją rozpacz, gdy nie umiałam nadażyć za własnymi emocjami. Pamiętam jak się bałam, nie o ojca. Bałam się samej siebie. Od tamtej pory modliłam się i marzyłam tylko o tym, żeby się wyprowadzić.

Wtedy znalazłam w Biblii słowa, które wyraziły całą moją nadzieję.

“Ojcem sierot i sędzią wdów

Jest Bóg w swym świętym przybytku.

Bóg samotnym daje dom na mieszkanie,

Wyprowadza więźniów na wolność...”

Psalm 68:6-7

Powtarzałam je w myślach cały czas. Wierzyłam, że się spełnią. Mimo że miałam rodziców, byłam samotna i czułam się opuszczona jak sierota, ale Bóg mówił, że jest moim Ojcem. Po kilku miesiącach zaproponowano mi maleńkie mieszkanko w kościele. Mały pokój z widokiem na skarpe, z małą kuchnią i łazienką. Miałam opiekować się budynkiem kościoła. Palić w piecu centralnego ogrzewania, sprzątać, opiekować się gośćmi, dbać o ogród i załatwiać sprawy administracyjne. Pastor wahał się, czy młoda kobieta poradzi sobie z tym wszystkim sama, ale ja byłam zdeterminowana. Nic mnie nie przerażało. Na początku grudnia 1995 roku wyprowadziłam się z domu rodziców.

Następnego ranka po wyprowadzce spotkałam mojego tatę na ulicy. Szłam do szpitala, on do pracy. Spojrzeliśmy na siebie. Byliśmy jak dwaj przechodnie, których drogi spotykają się na chwilę. Mój tata powiedział: „Bardzo pusto było bez ciebie w domu”. I nic więcej. Zaskoczona spojrzałam mu prosto w twarz. Zobaczyłam szczerą i wzruszenie w jego oczach. Nie umiałam nic powiedzieć. Moje serce było twarde od blizn. Pomyślałam tylko, że przechodnie nie mówią sobie takich rzeczy.

Głęboko w sercu wierzyłam, że ta przeprowadzka to coś więcej niż zmiana adresu. Wiedziałam, że zamieszkałam w domu Ojca. Trochę trwało, zanim przyzwyczaiałam się do ciszy. Bóg mówił do mnie, a Jego głos był dla mnie tak realny jak każdy inny dźwięk. Ten rok to był czas mojego uzdrowienia.

Rano wstawałam i zaczynałam dzień od kubka kawy czytanej nad Biblią. Robiłam wszystko, co trzeba w budynku i biegłam do szpitala, na praktyki. Po południu dzień wypełniony zajęciami w kościele i pracą. Potem przygotowanie do szkoły, nauka. Wieczorem padałam z nóg. Jednak nie byłam sama. Ciągłe był ze mną Tata. Mówił mi, jak mnie kocha, zapewniał o swojej akceptacji, zachęcał do marzeń. Czułam się bezpieczna, jak nigdy dotąd. Ludzie martwili się o mnie, że mieszkam na uboczu, że ktoś może mi zrobić krzywdę. Ale ja budziłam się czasami w nocy i szłam do ciemnej kaplicy, siadałam w jednej z ławek i czułam się tak jak dziecko, które ma zły sen i biegnie do pokoju rodziców. Tam nic mi nie groziło.

Uczyłam się ufać. Wiedziałam, że Bóg mnie kocha, ale zawsze była we mnie ostrożność i obawa, że zostanę zraniona. Obraz Boga ukazywany przez mój kościół to nie był wizerunek Tatusia. W moim kościele Ojciec był Bogiem Wszechmogącym i Sprawiedliwym, który za dobre wynagradza, a za złe karze. Nikomu nie mówiłam o tym, jakiego Boga poznaję. To było zbyt intymne i gdybym wtedy powiedziała, że jestem Tatusiową córeczką, spadłyby na mnie gromy za brak uległości. A jednak Tata nie przestawał do mnie mówić. Zdobywał moje zaufanie. Właśnie wtedy w moim życiu działały się najdziwniejsze, ponadnaturalne sytuacje, o których

nikomu nie opowiadałam.

To były bardzo dziwne chwile, nawet teraz, po wielu latach, opisując je, mam wątpliwości, czy ktoś będzie mi w stanie uwierzyć. Jednak to wydarzyło się naprawdę i pokazuje, jaki jest mój Ojciec. To nie było złudzenie ani nie wymyśliłam sobie tego. Choć to, co opowiem, jest dziwne, to w moich wspomnieniach pozostaje realne i proste.

To działo się dawno temu, gdy chciałam zbudować relację z pewnym mężczyzną, ale gdzieś w środku czułam, że to niewłaściwa osoba i zły czas. Jednak tak jak większość samotnych kobiet uważałam, że bycie w związku jest najlepszym i jedynym sposobem na życie. Bardzo chciałam, żeby ktoś mnie przytulił i chciałam do kogoś przynależeć. Już nie chciałam być sama. Moja samotność była prawdziwa i coraz silniej odczuwałam tęsknotę za drugim człowiekiem. W desperacji usiadłam wieczorem na swoim fotelu bujanym. Powiedziałam Bogu otwarcie: „Jeśli nie zrobisz nic do godziny 22:00, to zrobię wszystko po swojemu. Nie wiem, co zrobisz, możesz zesałać anioła albo napisać na ścianie, ale muszę wiedzieć, że to TY”. Byłam naprawdę zła i zniecierpliwiona. Wiem, że to nie było zbyt mądre, ale taka właśnie wtedy byłam, zagubiona i głupia w swoim myśleniu. Bóg był jednak ponad moją głupotę i zrobił dla mnie coś, co roztopiło moje serce.

Minęły dwie godziny, odkąd czekałam na Bożą odpowiedź. Potrafię być uparta! Patrzyłam na zegar i nic się nie działo. Myślałam wtedy: „Bóg nic nie robi, czemu miałyby Go obchodzić moja samotność. Potrzebuję kogoś, kto mnie przytuli”. Zegar odliczał ostatnie minuty do wyznaczonego czasu. Nagle coś się zmieniło wokół mnie. Miałam wrażenie, że ktoś wszedł do mojego pokoju. To tak jakbyś czuł na sobie czyjś wzrok, choć nikogo nie widzisz, ale wiesz, że ktoś cię obserwuje z ukrycia. Przez chwilę zaczęłam żałować, że postawiłam Bogu jakiś warunek. Strasznie się bałam, że zaraz pojawi się jakiś anioł i sprawi mi lanie za moją hardą głupotę. Atmosfera wokół mnie zaczęła się zmieniać, tak jakby powietrze stawało się gęstsze. Siedziałam, wbita w fotel ze strachu, że coś się wydarzy. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się nic podobnego. Słyszałam głos Boga, ale to był wewnętrzny głos, cichy i cierpliwy. Tym razem było inaczej. Odczuwałam wszystko moimi zmysłami. Do dziś pamiętam ten strach! Gdy na wyświetlaczu mojego elektronicznego zegara pojawiła się 22:00, byłam przerażona. Usłyszałam głos mówiący „Stań przede mną”.

Wstałam z fotela, a serce biło mi jak szalone. Stanęłam i nagle poczułam, jak powoli uginają się pode mną nogi. Moje kolana były zgięte i całe ciało przyjęło postawę jak przy tzw. „krzeselku”. Każdy, kto odbywał karę za łamanie ciszy nocnej na obozach harcerskich, wie już, o czym mówię... Jednak nie opierałam się o ścianę, moje ciało „siedziało” w powietrzu. To było dziwne, ale za chwilę poczułam się, jak moje ciało kołysze się w prawo i w lewo. To nie było związane z moją wolą. Tak jakby niewidzialna siła wykonywała ze mną jakieś akrobacje. Nie czułam zmęczenia i bólu mięśni, mimo że balansowałam na czubkach stóp. A ponieważ nie byłam nigdy typem sportowca, to nie było w granicach moich naturalnych możliwości. Po kilku minutach przestałam się bać, wyobraziłam sobie jak to zabawnie wygląda i zaczęłam się śmiać. Strach odszedł i wiedziałam, że Bóg, którego tak bardzo się przestraszyłam, jest dziwniejszy niż mogłam sobie wyobrazić. Ze zdumieniem i rozbawieniem zapytałam: „Tato, co robisz?”. Usłyszałam odpowiedź „Wziąłem cię na kolana i kołyszę”. Wtedy skończyło się kołysanie i mogłam stanąć normalnie. Zaczęłam płakać, bo zrozumiałam, że to całe zamieszanie było z mojego powodu. Bóg zrobił wszystko, żeby udowodnić mi, że On jest w stanie zaspokoić wszystkie moje tęsknoty. Nie potrzebuję na siłę szukać drugiego człowieka, żeby czuć się kochaną, przytuloną i bezpieczną. Mój Bóg zniżył się do mnie i pozwolił mi poczuć po ludzku,

jak bardzo Mu na mnie zależy.

Wiele lat później, gdy mój młodszy syn miał około dwóch lat, miałam podobną sytuację. Mikołaj płakał, bo chciał iść tego dnia z bratem do przedszkola. Gdy odmówiłam, obraził się na mnie. Wiedziałam, że tęskni za Jonatanem i czuje się opuszczony, mimo że był ze mną. Mama nigdy nie może równać się z czterolatkiem i to wyjątkowo pomysłowym. Usiadłam na podłodze i nie patrząc na fochy Mikołaja, przyciągnęłam go do siebie i na siłę przytuliłam. Mały był tak zły, że sadzając go na kolanach, miałam wrażenie, że łamię mu wszystkie kości. Przytuliłam go mocno i zaczęłam kołysać. Poczułam, jak powoli napięcie mija i po dłuższej chwili Mikołaj sam się do mnie przytulił. To było takie miłe, poczuć jego małe ciało, takie ufne i spokojne. Wtedy, w tamtej chwili, Bóg cichutko zapytał „Pamiętasz?”. A ja wiedziałam, o co chodzi i wiedziałam, że czasami nawet Bóg nie umie oprzeć się pragnieniu, żeby wziąć nas na kolana i przytulić.

To był czas niezwykłych dowodów miłości, które dostawałam od Taty. Myślę, że po części działa się tak dlatego, że nie znając prawdziwej więzi z moją rodziną, nie umiałam odczytać subtelniejszego przesłania. Bóg musiał wręcz trąbić do mnie, żeby przekrzyczeć wszystkie mechanizmy obronne, które uruchomiłam w sobie już jako dziecko. Wierzyłam na przykład, że nie wolno zbyt zbliżyć się do ludzi, bo wcześniej czy później zostawią mnie i zranią. Myślałam, że im bardziej kogoś lubię, tym boleśniesz będzie uczucie straty, więc gdy ktoś stawał mi się naprawdę bliski, przerywałam relację, żeby wyprzedzić porzucenie. Mówiłam wtedy: „wiesz myślę, że potrzebujemy małej przerwy” i znikam z życia tej osoby na tydzień lub dwa. Tylko po to, aby nie przekroczyć tej magicznej granicy przywiązania. Tym bardziej dziś kocham Ojca, dlatego że gdy byłam emocjonalnym wahadłem, znosił mnie i nie patrzył na to, że raz Go uwielbiam, raz Go odrzucam. To, z czym się borykałam, nazywane jest Odrzuceniem i wiem, że jedynym lekiem na to jest przyjęcie akceptacji i miłości Taty. Wiem też i całe moje życie może to potwierdzić, że Ojciec nigdy z nas nie rezygnuje. Słowa Psalmu 27 mówią o tym wprost:

Choćby ojciec i matka mnie opuścili,

Pan jednak mnie przygarnie.

Psalm 27:10

W innych tłumaczeniach ten fragment dosłownie brzmi Nawet jeśli ojciec i matka mnie porzucą, to Pan podniesie mnie w górę. Zupełnie tak jak podnosi się płaczące dziecko. Tuli w ramionach, przytula do policzka i całuje. Bóg mówi, że nawet jeśli zostaniemy porzuceni przez naszych najbliższych, to On sam jest tym, który nie potrafi pozostać obojętnym.

W Księdze Ozeasza Bóg mówi o miłości do swojego ludu w bardzo obrazowy sposób.

A przecież to Ja sam uczyłem Efraima chodzić,

brałem ich na swoje ramiona, lecz oni nie wiedzieli, że to Ja ich leczyłem.

Przyciągałem ich więzami ludzkimi, powrozami miłości i byłem dla nich jak ten, który podnosi niemowlę do swojego policzka, i nachylałem się do nich, aby ich nakarmić.

Księga Ozeasza 11:3-4

Gdy czytam te słowa, zawsze wyobrażam sobie Ojca, który bierze niemowlę i nosi w swoich ramionach, dokładnie tak samo jak rodzice noszą swoje maleńkie dzieci, gdy mają kolkę. Wtedy najlepszym lekarstwem są ciepłe ramiona mamy lub taty delikatnie pocierające bolący brzuszeczek. Czasami widzę taki obrazek, gdy maleństwo w końcu po jedzeniu puszcza solidnego bąka lub głośno beka, a rodzice z radości niemal robią owacje na stojąco. Zupełnie jakby te zwykłe reakcje fizjologiczne były dowodem niezwykłych talentów ich potomstwa i powodem do

dumy. Myślę wtedy o tym fragmencie Biblii i wyobrażam sobie, że Tata jest z nas dumny zawsze i niezmiennie, nawet jeśli jedyne, co potrafimy, to pić mleko i robić w pieluchy.

Był też inny specjalny moment. Pewnego dnia rozpadał się deszcz i okazało się, że w dachu budynku kościoła jest pęknięcie, dokładnie nad moją sypialnią. Noc spędziłam na ustawianiu garnków i misek pod ciekącym sufitem. Następnego dnia padało jeszcze gorzej. Byłam załamana. Pomodliłam się: „Tato, nie mam kogo prosić o pomoc, musisz mi pomóc!”. Wkrótce okazało się, że fachowiec zgodził się to naprawić, ale dopiero gdy zmieni się pogoda. Czekano mnie zgodnie z prognozami kilka dni ustawiania naczyń i słuchania miarowego kapania. Nie wiedziałam już, co jest gorsze, wilgoć czy ten torturujący dźwięk. Weszłam na strych, żeby wyłączyć wodę z ustawionych tam misek. Spojrzałam w małe okienko w dachu i poprosiłam „Zatrzymaj deszcz, Tatusiu”. W jednej chwili przestało padać i wyszło słońce. Chociaż to nie był przelotny deszczyk, a kilkudniowa ulewa, to w jednej chwili wszystkie chmury rozeszły się na moich oczach. Szczęka mi opadła. Zaczęłam dziękować i uwielbiać Boga, bo to, co zobaczyłam, to było prawdziwe widowisko. Wtedy zobaczyłam, jak na ścianie przede mną przesuwają się jasne cienie. Wiem, że to nie ma sensu, bo cienie są ciemne, a nie jasne, ale tak to wyglądało. Nie mogło to być zjawisko naturalne, bo po tamtej stronie nie padało światło z okna. Widziałam swój prawdziwy, naturalny cień na jednej ścianie i na przeciwnej cienie przychodzących sylwetek. Poczuliłam się tak, jakby ktoś rozciągnął nade mną opiekę i przysłał pomoc, gdy o nią prosiłam. To było niezwykle doświadczenie. Do czasu załatwienia dachu nie spadła ani jedna kropla deszczu.

Zawsze byłam pewna, że Bóg postawił przy mnie aniołów. Nigdy się nie bałam być sama w domu. Zdarzały się różne trudne sytuacje, ale wiedziałam, że mam swoją ochronę. Któregoś dnia jedna z sąsiadek mieszkająca w kamienicy obok kościoła przyszła na nabożeństwo. I powiedziała do mnie: „Wiesz, zawsze lubiłam słuchać, jak śpiewasz. Kiedy jestem w ogrodzie w soboty, to często ciebie słyszę. Jednak w tą sobotę naprawdę daliście popis. Kto tak z Tobą śpiewał?” Wszystko się zgadzało. To prawda, że sprzątając kaplicę, otwierałam okna, żeby ją przewietrzyć. To prawda, że zawsze darłam się, ile mogłam. Co zrobić, tak lubię przy sprzątaniu. Jednak byłam pewna, że byłam sama. Sąsiadka tylko spojrzała na mnie, gdy próbowałam jej wyjaśnić, że coś jej się pokręciło. Powtarzała tylko, że to nieprawda, bo śpiewał ze mną jakiś facet i ona to słyszała, bo w tym czasie pielęła warzywa pod moimi oknami. Była tego tak pewna, że nie chcąc się z nią kłócić, szybko zmieniłam temat, ale została we mnie refleksja, że czasami rzeczy są zupełnie inne, niż nam się wydają. Może właśnie wtedy gdy ja czyściłam kaplicę i przekrzykiwałam odkurzacz, mój anioł przyłączył się do imprezy?

Któregoś dnia Bóg zaskoczył mnie w zupełnie w inny sposób. Był późny wieczór, a ja byłam zmęczona i przygotowywałam się do snu. Ze snu wyrwał mnie dzwonek do drzwi kościoła. Byłam w piżamie i nie miałam zamiaru nikomu otwierać, było już sporo po dziesiątej. Jednak dzwonki stawały się coraz bardziej natarczywe. Co miałam zrobić, szybko się ubrałam i rozgniewana podeszłam do drzwi. Otworzyłam i zobaczyłam Jankę, starszą kobietę, którą poznałam wcześniej na spotkaniach w Studium Biblijnym, w którym uczyłam się hebrajskiego. Był marcowy, bardzo chłodny wieczór, a ona stała na moim progu, zziębnięta z siatkami w obu rękach. Z racji jej wieku nie mogłam zrobić nic innego – po prostu wpuściłam ją do swojego domu i zaproponowałam kubek gorącej herbaty. Usiadła w mojej kuchni i powiedziała, że Bóg powiedział jej, że ma przyjechać. Pomyślałam wtedy złośliwie, że szkoda, że mnie nie poinformował. Ale gdy patrzyłam, jak ta kobieta, mocno po sześćdziesiątce, wypakowuje swoje

siatki (takie prawdziwe babcine z nylonu, kto je jeszcze pamięta?) i układa na moim stole konfitury, kompoty i dżemy, to poczułam, jak złość ustępuje dziwnemu rozczuleniu. Ach, ta Janka, szalona dusza, krejzolka. Bóg jej coś powiedział, a ona wpakowała się w ostatni autobus do innego miasta oddalonego o pięćdziesiąt kilometrów z adresem kościoła w ręku, nie mając pewności, czy kogokolwiek tu zastanie. W pośpiechu spakowała tylko jakieś słoiki z przetworami. Z pustymi rękami nie wypadało przyjeżdżać... Jej zaufanie do Boga było imponujące, ale niepokoiło mnie to, że nie potrafiła dać jasnej odpowiedzi, dlaczego przyjechała. Pościeliłam jej łóżko dla gości i odłożyłyśmy wszystkie rozmowy na następny dzień. Gdy wstałyśmy rankiem drugiego dnia, Janka powiedziała, że ugotuje dla mnie obiad. Żyłam wtedy bardzo skromnie, więc perspektywa wyzerki bardzo mnie ucieszyła. To była sobota i miałam bardzo dużo pracy w kościele. Musiałam porąbać drewno i ogród już powoli prosił się, żeby w nim posprzątać po zimie. Zażyłyłam sobie fasolki po bretońsku, dostałam listę zakupów, a potem zajęłam się swoimi obowiązkami. Po południu odwiedzili mnie przyjaciele i wszyscy usiedliśmy nad garnkiem gorącej fasolki. Cokolwiek można było powiedzieć o pomysłach Janki, to kucharką była doskonałą, z tej odrobiny jedzenia, jaką miałam przygotowała prawdziwą ucztę i jeszcze zostawiła mi zapasy w lodówce. Zachowywała się, jakby była najprawdziwszą babcią, okrąglutką, z okularami zsuniętymi na czubek nosa, gdy czytała swoją Biblię. Z tym swoim długim siwym warkoczykiem, cieniutkim jak myszy ogonek. Rozczulała mnie, ale dalej nie potrafiła powiedzieć ani dlaczego przyjechała, ani jak długo zostanie.

Następnego dnia była niedziela. Mój najpracowitszy dzień w kościele. Wstawałam przed piątą rano, żeby napalić w piecu. O dziesiątej musiało być ciepło w kaplicy, a nasz piec centralny był kapryśny jak dziecko. Trzeba było go pilnować, bo wygasał albo się przegrzewał zupełnie bez ostrzeżenia. Przez zimowe miesiące miałam albo zimno jak w lodówce, albo bałam się wybuchu. Budziłam się w nocy co trzy godziny, po omacku szłam do kotłowni, dorzucałam węgla, sprawdzałam temperaturę i zawory. Po czym padałam na łóżko, zawijając się w dwie kołdry i spałam przez następne trzy godziny. Po jakimś czasie nie potrzebowałam nawet budzika. Staralam się nie narzekać, bo wiedziałam, że taki dyskomfort jest ceną, jaką trzeba zapłacić za mieszkanie w tym miejscu.

Najtrudniej było w niedzielę. Musiałam siedzieć kilka godzin, dopilnowując pieca. Wszystko przed nabożeństwem musiało być dopięte na ostatni guzik. Miałam szczęście, że mój Pastor był wspaniałym i wyrozumiałym człowiekiem, ale to nie zwalniało mnie z moich obowiązków. Tej niedzieli, gdy była u mnie Janka, byłam tak zajęta, że późno zauważyłam, że jej pokój jest ciągle zamknięty. Zapukałam cichutko i otworzyłam drzwi. Janka siedziała na łóżku, taka spokojna i zamyślona. Stanęłam w progu, a ona zaczęła mówić. Słowa z niej płynęły, jakby dopiero co wszystko zrozumiała. Opowiedziała mi, że kilka miesięcy wcześniej zmarła jej mama. Jej tata zmarł wiele lat wcześniej. Oczywiście Janka była przygotowana, że jej mama nie będzie żyć zawsze i wkrótce odejdzie, ponieważ była już w bardzo podeszłym wieku. Jednak mimo że sama była babcią, nie spodziewała się, że tak spadnie na nią tak silne uczucie osierocenia. Przez kolejne miesiące walczyła z depresją i ukrywała to przed najbliższymi. Wstydziała się tego, że czuje się jak opuszczone dziecko. W jej wieku zdziecinnienie bywa związane wyłącznie z demencją starczą, a nie z uczuciami, do których można się przyznać. Wypierała te uczucia gdzieś na samo dno swojej duszy. W pewnym momencie jej zmagań Bóg powiedział jej, że ma tutaj przyjechać. To było tak wyraźne, że nie zastanawiała się długo, jednak nie wiedziała, o co chodzi. Tamtego ranka obudziła się i przez chwilę poczuła się tutaj,

jakby była dzieckiem i obudziła się w swoim rodzinnym domu. Powiedziała mi „Wiesz, obudziłam się w Domu Ojca”. Bez żadnych wątpliwości Bóg pokazał jej, że jest jej Ojcem i nawet jeśli jej rodzice nie są z nią, to ona nie musi czuć się opuszczona, bo On jest z nią i tak będzie już zawsze. Ta kobieta starsza ode mnie o przeszło czterdzieści lat poczuła się tutaj dokładnie jak ja, bezpieczna w Domu Ojca. Dopiero wtedy zrozumiałam, że jej przyjazd był potwierdzeniem tej szczególnej atmosfery, jaka mnie otacza w tym miejscu. Bóg zbudował dla mnie swój dom. Tu nie chodziło o cztery ściany, ale o to „coś”, czego nigdy nie znałam. Wtedy myślałam, że to dlatego, że mieszkam w budynku kościoła. Dopiero gdy wyprowadziłam się do innego mieszkania zauważyłam, że ten dom noszę w sobie. To schronienie zbudowane z poczucia bezpieczeństwa i zaufania.

Spotkanie z Janką nauczyło mnie, że każdy człowiek w głębi swojego serca pozostaje bezbronnym dzieckiem, które potrzebuje Ojca. Można mieć kochających rodziców i piękne dzieciństwo, a jednak w życiu każdego człowieka może przyjść moment zmierzenia się z uczuciem osierocenia. Nieważne, czy jesteś sierotą, czy tylko tak się czujesz. Bóg Cię podnosi i tuli do policzka. Nawet jeśli nie należysz do nikogo, On Ciebie przyjmuje.

Janka została na niedzielnym nabożeństwie, a potem poszła na autobus do domu. Patrzyłam, jak odchodzi ze swoją Biblią zapakowaną do nylonowej siatki, w jakiej nosiło się kiedyś zakupy. Już nie była dla mnie starszą panią. Była Janką, Tatusiową córeczką. Spotkałyśmy się we dwie w Jego domu. Obie opuszczone, choć w inny sposób, odnalazłyśmy azyl w ramionach Ojca. Obie przytulone, jak dzieci posadzone na kolana Taty. Obie tak różne i tak podobne zarazem, siostry noszące w sobie geny Ojca, dziedziczki mające to samo pochodzenie. Nigdy później się nie spotkałyśmy. Nic straconego. Przeznaczone nam jest jeszcze jedno spotkanie w Domu Ojca.

Rozdział 5

Słowo

Może się wydawać, że te niezwykle doświadczenia ukształtowały mój stosunek do Boga, ale tak nie było. Wydarzenia, które opisałam były czymś w rodzaju rodzynek w cieście. Moja codzienna relacja z Bogiem budowała się w zupełnie przewidywalny i prosty sposób.

Choć opowiadam o dziwnych rzeczach, wcale nie jestem dziwna. Mój dzień od lat zaczyna się w taki sam zwyczajny sposób - od pierwszego kubka kawy i Słowa. A gdy zdarzają się dni, kiedy nie mam siły otworzyć Biblii (bo i takie momenty mam), siadam z moim kubkiem latte w kącie i czekam aż mi przejdzie chandra. Czekam aż w końcu do mojego znarowionego jak dziki mustang serca znów dotrze cichy i kojący głos Taty.

Bóg ma na mnie swój sposób. W momentach gdy nic mi się nie chce zaczepia mnie szeptając w moim sercu jedno słowo. Wie, że w końcu nie wytrzymam i zacznę zadawać pytania. Mówi do mnie: uległość, wdzięczność, dawanie, światło ... Zabija mi w sercu przysłowiowego ćwieka i ani się spostrzegam siedzę już nad konkordancją wyszukując wersety biblijne. Studiuję Słowo,

śnie o nim, rozmyślam. Nie wystarcza mi nauczanie jakie słyszę w kościołach. Za każdym razem, gdy przylgnę do jakiegoś nauczyciela zbyt mocno, czuje za jakiś czas, że zjeżdżam na manowce. Chcę więcej i wiem, że Bóg jest zainteresowany tym żeby mnie osobiście uczyć. Jestem uparta i nie odpuszczam dopóki nie zrozumieć wszystkiego co Duch Święty próbuje mi wytłumaczyć. Kiedyś po to żeby samodzielnie odczytać jeden werset z Księgi Izajasza jeździłam przez 2 lata do mojego nauczyciela hebrajskiego. Odczytanie fragmentu Pisma i potwierdzenie samodzielnie tekstu oryginału zmieniło moje spojrzenie na naturę Boga. Oczywiście słucham nauczania, czytam bardzo dużo książek, interesuje się wieloma rzeczami, mam wiele pasji. Nie jestem ignorantką. Doceniam mądrość jaka jest w ludziach, ale z latami coraz mniej bezkrytycznie ją przyjmuję. Zaczynam rozumieć, że jeśli coś działa u kogoś w ten sposób, nie znaczy, że tak zadziała u mnie. Spaceruje samotnie z Bogiem i zadaje mu serię trudnych pytań gdy natrafiam na coś czego nie rozumiem. Pytam Go o zdanie.

Nie jestem teologiem. Nie sypię wersetami z rękawa. Czasami moje poglądy bywają bardzo głupie (o czym przekonuję się dopiero kilka lat później). Jednak gdy chwycę jakieś słowa to zasadzam je w sercu. I od zawsze traktuje je bardzo poważnie. Może to dlatego że słowo mojego ojca nic nie znaczyło? Obietnice jakie otrzymywałam nie zostawały spełnione. A teraz mam Ojca, który zawsze mówi prawdę i na Jego Słowach można polegać. A gdy coś obieca, nie ma mocnych - zawsze dotrzymuje tego co mówi.

Wierze w prorocтва. Sama prorokuje czasami do ludzi, ale w porównaniu z Biblią traktuje prorocтва nie do końca serio. Słowa wypowiedziane przez człowieka mogą być omylne, to co mówi Bóg jest pewne. Gdy znajduję się w trudnej sytuacji nie proszę Boga o prorocтво. Proszę Go: pokaz mi to w Biblii. Jeśli potem dostane jakieś prorocтво potwierdzające to co mówi Bóg - świetnie! Jeśli to prorocтво jest w sprzeczności, no cóż mam na to sposób. Zgodnie z Psalmem 62:12 mówię "Raz rzekł mój Pan a dwa razy usłyszałem..." I czekam na kolejne potwierdzenia. Nie szukam prorocत्व, nie mam takiej potrzeby. Jestem całkowicie spokojna, że gdyby Ojciec chciał coś we mnie zmienić, najpierw powiedział by to do mnie.

W Liście do Efezjan Paweł opisuje całą zbroję wojownika. Są tam przyłbica, pancerz, pas, buty i każdej części jest przypisany duchowy odpowiednik. Tarcza, oznaczająca wiarę, która może nas ochronić przed atakiem złego, służąca też do obrony i odpierania przeciwnika. I najważniejszy – miecz, który wyraża Słowo i jest tym, co służy do ataku. Można się bronić, ale gdy trzeba coś zdobyć i wygrać, trzeba użyć Słowa.

Wiele się zmieniło, gdy zaczęłam rozumieć, że Biblia jest jak obosieczny miecz. Myślę też, że gdyby Paweł żył współcześnie, zachwyciłby się mieczem świetlnym Obi-Wan Kenobi'ego i użyłby go jako przykładu...

Moi chłopcy uwielbiają „Gwiezdne wojny”. Ja jestem dla nich kompletną ignorantką, która myśli, że Sokół Milenium to ptak. Dwa nasze chomiki nazywały się: Wader (szybko się przekreślił, chyba nie mógł się pogodzić ze swoim alter ego) i Leia (która, jak przystało na księżniczkę, żyła długo i szczęśliwie).

Dzięki moim dzieciom wiem, jak działa miecz świetlny. Totalna moc wiązki światła, która potrafi przeciąć wszystko. Co istotne, działa on tylko w ręku Rycerza Jedi. Jest tyle analogii, że gdy opowiadałam moim synom o tym, że Słowo Boże jest skuteczne jak miecz świetlny, to słuchali z otwartymi ustami. Jak sobie tego nie wyobrazisz, to Biblia wygląda niepozornie, jednak gdy potrafisz jej użyć, zamienia się w potężną moc do zwycięstwa. Nie da się wygrać bez miecza.

Szybko zdałam sobie sprawę z tego, że nawet najpiękniejsze przeżycia nie zrobią w moim życiu tego, co może dokonać Słowo. To, że Bóg mnie w taki bardzo naturalny sposób przekonywał o Swojej obecności, nie świadczyły o mojej wielkiej wierze, wręcz odwrotnie. Bóg przemawiał do moich zmysłów, kołysał mnie, dotykał, przemawiał, bo moja wiara opierała się na tym, co czuję i potrzebowała potwierdzenia. Tym bardziej dziękuję Jemu, że miał do mnie tak wielką cierpliwość.

Byłam jak porzucone dziecko, które ciągle nie może uwierzyć, że jest ktoś, kto je pokochał. Byłam jak nigdy niekochana kobieta, która nie może uwierzyć, że ktoś chce się z nią ożenić. Potrzebowałam ciągłych zapewnień o miłości, kwiatów, prezentów, wytrwałych wyznań, opiekuńczych ramion.

Byłam trochę jak zaszczute zwierzątko, które gdy widzi wyciągniętą rękę, zamyka oczy i kęsa, przekonane o tym, że ktoś je skrzywdzi.

Moja wrażliwość jest do tej pory moim największym atutem i największym problemem. Potrafię zdobyć się na empatię, intuicyjnie odczytuję emocje u innych, dostrzegam najmniejsze zmiany w ludzkich zachowaniach. Jednak mam skłonność do nieufności i odczytywania tego, co widzę jako ukrytej wrogości w stosunku do mnie. Ludzie wrażliwi to najczęściej osoby bardzo skoncentrowane na swoich wewnętrznych przeżyciach i nadające temu wewnętrznemu światu większe znaczenie niż na to w rzeczywistości zasługuje. Jedną z najtrudniejszych i najlepszych rzeczy, jaką udało mi się wypracować w sobie dzięki cierpliwym perswazjom mojego Ojca, było wyleczenie mojej duszy z nadwrażliwości. Dzięki Niemu udało mi się zbudować w sobie przekonanie, że nie wszystko kręci się wokół mojego osobistego wszechświata. Odkrycie, że ludzi tak naprawdę średnio interesują moje poglądy – bo mają własne, moje osiągnięcia i porażki – bo są sensacją tylko na małą chwilkę, było bardzo uwalniające. Gdy w końcu człowiek przestaje się przejmować tym, co pomyślą inni, to jest jak wiatr wiejący w żagle.

Teraz Biblia jest jedyną opinią o mnie, jaka się dla mnie naprawdę liczy.

W jednym z najtrudniejszych momentów mojego życia, gdy byłam bardzo krytykowana po porażce, zawiesiłam sobie kartkę nad biurkiem z parafrazą słów pewnej piosenki „Nie jest prawdą o mnie, co mówią o mnie inni ludzie. Nie jest prawdą o mnie, co mówią o mnie demony. Nie jest prawdą to, co mówi moje konto bankowe. Jedyna prawda o mnie jest zapisana w kochających oczach mojego Ojca”. To Jego Słowa miały dla mnie znaczenie. Mogłam Mu zaufać. Był moją ochroną.

Rozdział 6

Tata ma gest!

Jedną z najważniejszych rzeczy, która pokazała mi, jaki jest mój Bóg, była Jego troska o to, żeby mi niczego nie zabrakło. Bóg nie był odległym punktem w kosmosie. Panem, który pragnął uwielbienia, bo to poprawiało Jego humor i stawał się troszkę bardziej łaskawy. O, nie! Mój Bóg był praktyczny do bólu. Zachęcał mnie „proś o wszystko, czego tylko potrzebujesz, ja to ci dam”. Czytałam fragment z Ewangelii Mateusza: *Proście, a będzie wam dane, szukajcie a znajdziecie;*

kołaczcie, a otworzą wam.

Każdy bowiem, kto prosi, otrzymuje, a kto szuka, znajduje, a kto kołacze, temu otworzą.

*Czy jest między wami taki człowiek, który, gdy go syn będzie prosił o chleb, da mu kamień?
Albo, gdy go będzie prosił o rybę, da mu węża?*

Jeśli tedy wy, będąc złymi, potraficie dawać dobre dary dzieciom swoim, o ileż więcej Ojciec wasz, który jest w niebie, da dobre rzeczy tym, którzy go proszą” (Mat.6:7-11)

Miałam problem ze zrozumieniem tej prostej zależności. Mój tata nie był hojnym człowiekiem, nie dostawałam od niego pieniędzy czy zabawek, nigdy nie kupił mi kredek ani zestawu „małego lekarza”. Pamiętam niewiele prezentów od mojego taty. Jeśli czegoś chciałam, szłam do mamy, która wyciągała pieniądze spod ziemi, żebym tylko miała to, czego potrzebuję..

Krótko przed moją wyprawą usłyszałam, że gdy się o coś modlimy, powinniśmy być konkretni. Potrzebowałam mebli do mojego nowego mieszkania. Nie miałam nic, ale co szkodziło mi marzyć. Spróbowałam. Wymarzyłam sobie sosnowe meble. Nieomal potrafiłam wyobrazić sobie, jakie są w dotyku i podobał mi się ich ciepły kolor. Jednak cena takich mebli była dla mnie obłądna. Któregoś razu moja mama, która bardzo przeżywała moją wyprawę i czuła się bardzo odpowiedzialna, żeby mi pomóc, wyciągnęła fotografię i oznajmiła, że jej znajomi remontują mieszkanie i zaproponowali odkupienie używanych mebli po ich dzieciach. Dodała, że to jedyne, na co ją stać i nic innego nie wchodzi w grę. Zrezygnowana sięgnęłam po fotografię. Używane meble dziecięce: oto, jak skończyły moje marzenia! Spojrzałam na zdjęcia i zamarłam. Cudowny kredens, szafa, dwie oszklone półki, a wszystko z sosny w szlachetnym bursztynowym odcieniu. Już następnego dnia zostały odkupione za bezcen razem z dwoma solidnymi materacami z trawy morskiej.

Kolejnym moim marzeniem był fotel bujany. Marzenie — wydawałoby się nieosiągalne. A jednak gdy odwiedzałam jedną z moich koleżanek, zobaczyłam u niej w graciarni fotel bujany z plecionym, ratanowym oparciem zawalony pakunkami wszelkiej maści. Miał uszkodzone siedzisko i był przeznaczony na śmietnik, ale już po chwili targałam go na plecach do swojego domu. Sama naprawiłam siedzisko i mój fotel zyskał drugie życie. To na nim później karmiłam synków i kołysałam do zaśnięcia. Ech... cudowne wspomnienia, ale wszystko zaczęło się od marzenia znalezione w zapomnianej graciarni.

Kuchnię wyposażałam w równie niezwykły sposób. Koleżanka mamy zmieniała mieszkanie. Wprowadziła mnie do swojej starej kuchni, po czym powiedziała: „Bierz, co chcesz”. Wzięłam prawie wszystko. Miałam już domek jak z obrazka!.

Mieszkałam w moim małym mieszkanku i poznawałam Ojca. Żyłam tak skromnie, że nie miałam pojęcia z czego opłacę moje rachunki. Kończyłam szkołę dzienną. Mama dawała mi trochę pieniędzy, tak że starczało mi na chleb, margarynę i trochę podstawowych zakupów. Nie mogłam prosić o więcej, to byłoby nie w porządku. Zrezygnowałam z mięsa i innych smakołyków. Nauczyłam się robić wszystko, co tylko się dało, z mąki i ziemniaków.

Wiosną wydarłam chwastom w zapuszczonym ogrodzie kawałek ziemi pod warzywa. Klęcząc godzinami, wydłubywałam z mojego ogródka kilometry korzeni perzu. Zasiałam trochę roślinek i czekałam na świeże, własne warzywa. Gdy moje grządki były już tak cudownie zielone, dzieci ze szkółki niedzielnej, niepilnowane po nabożeństwie pobiegły do ogrodu. Po chwili wróciły do rodziców z powyrywanych warzywami. Jadły brudne marchewki, a na ich umorusanych buziach

błyskały szczerbate uśmiechy zdobywców. Myślałam, że wpadnę w szal. Jakiś rodzic nakrzyczał na swoje dziecko, że się brudzi i je jakieś świństwa. Wyrwał z rąk dziecka chrupiące marchewki z zieloną natką i cisnął je do kosza na podwórku. Miałam ochotę zawyć z bólu. Moje serce jak w zwolnionym filmie wołało nieeeee! rzucając się na pokrywę śmietnika. Tyle mojej pracy wrzucono do śmieci. Na szczęście zostały rzodkiewki. Chleb z rzodkiewką rano i wieczorem. Siedem dni w tygodniu. Nie narzekałam. Mogło być gorzej.

Zawsze jakoś cudem udało mi się zapłacić rachunki. Choć nigdy nie mówiłam o swoich potrzebach, zdarzało się, że ktoś wcisnął mi pieniądze w drzwi i to dokładnie sumę, jakiej potrzebowałam, zostawiał zakupy, dostawałam jakieś stypendium w szkole, chociaż się o żadne nie starałam. Wszystkie zapłacone rachunki wkładałam do dużej brązowej koperty, która z czasem zrobiła się pękata. To był mój „dowód”.

Spotykałam też osoby, które miały do mnie jakąś niewytłumaczalną słabość. Były moimi aniołami. Jednym z nich była Pani Lusia. Pracowała w szpitalu, w którym miałam praktyki. Mój anioł chodził w poliestrowej halczce wystającej spod szpitalnego fartuszka. Cudownie puszysta, z pewnością siebie, jaką dawał jej imponujący staż w zawodzie i poważanie lekarzy ortopedów, którym asystowała przy zakładaniu gipsów. Kochaliśmy jej poczucie humoru i to gdy podczas zabiegu z gracją i naturalną swobodą zwracała się do zapatrzonego w siebie lekarza na stażu per „Synku”. Pani Lusia miała wielkie serce. Gdy dowiedziała się, że ja i moja koleżanka Jola, która mieszkała na stacji, nie mamy obiadów w domu, za punkt honoru sobie wzięła, żebyśmy co dzień zjadły coś ciepłego. I tak nasz anioł znajdował nas wszędzie na oddziale. Pokazywała na nas dwie i tonem nieznoszącym sprzeciwu nakazywała „za mną!”. Sadzała nas na taboretach w oddziałowej kuchni i nalewała każdej z nas talerz szpitalnej zupy, która zostawała po obiedzie. Tak było przez najgorsze zimowe miesiące w ostatnim roku mojego studium medycznego. Jedni ludzie w mrozy karmią gołębie, a Pani Lusia dokarmiła nas.

Każdego dnia martwiłam się o pieniądze na utrzymanie. Strach i poczucie, że nie mam nic, nie opuszczało mnie nigdy. Ciągle myślałam, co będzie jutro. Biblia mówiła „Nie troszcz się”, ale ja nie umiałam. Aż przyszedł moment, kiedy zdałam sobie sprawę, że martwię się o pieniądze, bo nie jestem w stanie zaufać i w głębi serca nie wierzę, że mój Ojciec chce i może się o mnie zatroszczyć. Postanowiłam „dać mu szansę”. Pomodliłam się „Boże jesteś moim Ojcem i dasz mi chleb, gdy o niego poproszę. Wierzę, że się o mnie troszczysz i zaopatrujesz mnie. Od tej pory o swoich potrzebach będę mówić tylko Tobie. Nie będę panikować ani się martwić. Zaufam Tobie całkowicie”.

Ktoś może machnąć ręką i stwierdzić „Dziewczyno, trzeba było iść do roboty i zarobić pieniądze, nie musiałabyś tyle się zastanawiać”. Pewnie, że to najprostsze wyjście. Ale kończyłam dzienną szkołę i już pracowałam w zamian za mieszkanie. Nie mogłam rozpocząć pracy, jeśli chciałam zrobić dyplom. Jedyne, co mi zostało, to zaufanie. Okazało się, że to było trudniejsze niż zdobycie pensji, ale nauczyło mnie dużo więcej.

Dla osoby tak nieufnej jak ja, to nie była prosta deklaracja. To było jak podpisanie własną krwią paktu o kapitulacji. Zaufanie to było coś, co musiałam uruchomić w sobie całą siłą swojej woli. Nie miałam pojęcia, co się stanie, ale wiedziałam, że choćbym miała umrzeć z głodu, nie cofnę się. Uparłam się, żeby wypróbować siłę zaufania do Boga.

Po kilku dniach skończyło mi się w domu wszystko. Nie miałam pieniędzy na nowe zakupy.

Prawdę mówiąc, po tamtej deklaracji miałam mniej niż kiedykolwiek. Spodziewałam się, że gdy zaufam Bogu, będzie mi łatwiej. Otrzymam więcej pomocy. Jednak było zupełnie inaczej, niż się spodziewałam. Było gorzej. Gdy nadeszła sobota, musiałam zmierzyć się z pustką w lodówce i burczeniem w brzuchu. W takiej sytuacji normalnie poszłabym do rodziców i zjadła solidną kolację. Ale teraz było inaczej. Wiedziałam, że tym razem byłoby to poddanie się. Chciałam zobaczyć, jak Bóg się o mnie zatroszczy i jak rozwiąże tę trudną sytuację. Pamiętam ten dzień, uczucia, jakie mną targały i ten upór, który sprawiał, że nie mogłabym się poddać. Z rezygnacją przejrzałam szafki w kuchni. Jedyne, co mi zostało, to odrobina mąki, troszkę oleju. Zrobiłam z tego macę. Przepis najprostszy na świecie: mąka, woda, sól, oliwa i gotowe. Upieczona maca była wszystkim, co miałam. Nadszedł wieczór i musiałam przygotować kotłownię na następny dzień. Usiadłam zrezygnowana na worku cementu i grzebałam patykami w płomieniach w oczekiwaniu, aż piec się rozпали. Wtedy nagle w chwili największej rezygnacji do mojej głowy weszła pewna myśl i rozgościła się w moim umyśle jak długo oczekiwany przyjaciel. Zrozumiałam, że bez względu na to, jak trudna będzie moja sytuacja, to nigdy, nigdy, przenigdy nie zabraknie mi wody i chleba, bo Jezus jest Chlebem i Wodą Życia. „Przecież sam tak powiedział o sobie” — przekonywałam siebie w myślach. „Ja jestem chlebem z nieba, Ja jestem żywą wodą”. Słowa Jezusa nagle zabrzmiały w moim sercu tak, jak gdyby były wypowiedziane dwa tysiące lat temu właśnie dla mnie, specjalnie na tę chwilę. To brzmiało dla mnie jak najcudowniejsza obietnica, zapewnienie miłości, najgłębszej troski. To było jak melodia miłosnej kołysanki. Moja dusza zaśpiewała najprostszą piosenkę, powtarzając ciągle od nowa tę samą prawdę wypisaną w moich myślach.

„Nie zabraknie mi nigdy chleba, nie zabraknie mi nigdy wody,
bo Ty Jezu jesteś chlebem z nieba, bo Ty Jezu jesteś źródłem mym”.

Wtedy w tej zakopconej kotłowni poczułam się, jakby spłynął na mnie kawałek nieba. Cały strach, zamartwianie się odeszło w jednej chwili. Zaufałam, że nigdy nie zostanę sama. Moja sytuacja się nie zmieniła, to ja nie byłam już taka sama.

Po tamtym wydarzeniu przeczytałam historię w Biblii, która pokazuje jedno z imion Boga - Bóg Zaopatrjuje, po hebrajsku Jahwe Jireh. To opowieść o Abrahamie, który dostał polecenie złożyć swojego syna Izaaka jako ofiarę całopalną na górze Moria. Została ona zapisana w Księdze Rodzaju 22:1-19. Zaraz po otrzymaniu polecenia Abraham wstał wczesnym rankiem następnego dnia. Przygotował drwa, osiodłał osła, zabrał dwóch służących, swojego syna i wyruszył w drogę. Przez trzy dni, krok za krokiem zbliżali się do miejsca złożenia ofiary. Gdy zobaczyli z daleka górę. Abraham zatrzymał sługi: „Zostańcie tutaj z osłem, a ja i chłopiec pójdziemy tam, a gdy się pomodlimy, wrócimy do was”. Zapakował drwa na Izaaka, wziął ze sobą płonącą pochodnię i nóż. Zaczęli się wspinać, gdy Izaak zapytał: „Ojczy mój! A ten odpowiedział: Oto jestem, synu mój! I rzekł: Oto ogień i drwa, a gdzie jest jagnię na całopalenie? Abraham odpowiedział: Bóg upatrzy sobie jagnię na całopalenie, synu mój. I szli obaj razem”. Zastanawiałam się, czy Izaak zaczął się domyślać, że to on jest przeznaczony na ofiarę. Nawet jeśli tak było, to miał tak wielkie zaufanie do ojca, że szedł pokornie, niosąc na sobie drewno ofiarne. Abraham nie miał wątpliwości, że Bóg ma jakiś cel w żądaniu tej najwyższej ofiary. Myślę, że w jego logice wszystko było proste. Bóg nie mógł zniszczyć tego, co obiecał. Nawet jeśli złoży ofiarę z syna obietnicy, to nie wiadomo, jak to się stanie, ale odzyska go zdrowego i razem wrócą do domu. Bóg, którego poznał, nie łamie swojego Słowa i dotrzymuje obietnicy. To dlatego zbudował ołtarz i położył drwa. Gdy podnosił nóż, żeby zabić chłopca, miał pewność, że to nie jest koniec. Nie pomylił się. Anioł zawołał na niego, żeby go zatrzymać. „I rzekł: Nie podnoś ręki na chłopca i nie czyń mu nic, bo teraz wiem, że boisz się

Boga, gdyż nie wzbraniałeś się ofiarować mi jedyne go syna swego. A gdy Abraham podniósł oczy, ujrzał przed sobą barana, który rogami uwikłał się w krzakach. Poszedł tedy Abraham, a wzięwszy barana, złożył go na całopalenie zamiast syna swego. I nazwał Abraham to miejsce: Pan zaopatruje (Jahwe Jireh). Dlatego mówi się po dziś dzień: Na górze Pana jest zaopatrzenie”.

Te słowa weszły mi do głowy i dobrze oddały to, z czym się zmagalam. Zrozumiałam, że jeśli czegoś bardzo chcemy, musimy wejść na „górze”. A wspinaczka nie zawsze jest łatwa. Im bliżej szczytu, tym bardziej jest się zmęczonym, bolą nogi, brakuje oddechu. Każda góra, która jest nowym wyzwaniem, jest trudna do zdobycia. Większość ludzi oczekuje, że gdy zaufają Bogu w jakiejś konkretnej sprawie, to wszystko pójdzie „z górki”. Ale nic bardziej mylnego. Nic nie da się osiągnąć bez włożenia w to odrobiny wysiłku. Po drodze mija pierwszy entuzjazm i gdy szlak zaczyna ostro atakować szczyt, dopada nas kryzys „połowy drogi”. Nie chcemy się cofać, ale zmęczeni nie dowierzamy, że uda nam się dojść na samą górze. Tylko ten, kto się nie podda i pójdzie dalej, będzie zdobywcą. Czegokolwiek potrzebujesz, to jest na szczycie.

Życie nauczyło mnie jednak, że są szczyty, których nigdy nie byłabym w stanie zdobyć. To tak jak wejść na Jaworzynę albo Śnieżkę, a później stanąć u stóp Himalajów. Podobnie są rzeczy nieosiągalne dla mnie samej: uzdrowienie, sprawiedliwość, przebaczenie, łaska... Swoim wysiłkiem nic nie jestem w stanie zrobić. Zrozumiałam, że nawet gdybym wypruła sobie żyły, są sprawy, które są ponad moim zasięgiem. I wtedy Tata pokazał mi coś zabawnego. Ludzie myślą, że Bóg nie żartuje, ale tak nie jest. Bóg potrafi być zabawny, nawet jeśli to nie mieści się w naszych religijnych wyobrażeniach. Czasami pokazuje mi trudne prawdy w tak dziecinnie prosty sposób, że bywa to po prostu śmieszne. Ale gdy się nad tym zastanowić, to ma bardzo głęboki sens. Tak było w tym przypadku. Bóg pokazał mi, że jeśli zrobię pierwszy krok i wejdę na znajomą już „Górze Zaufania”, to znajdę na samym szczycie lądowisko. Z helikoptera, wiem to zabrzmiało dziwnie i głupio, wysiądzie Jezus. Przytulił mnie jak najlepszego przyjaciela i zabierze na każdy niedostępny szczyt. Wszędzie tam, gdzie nie mogłabym wejść sama. Uniesie mnie ponad moje własne możliwości i pozwoli mi zobaczyć niezdojane góry z lotu ptaka. Gdy droczyłam się z Bogiem, mówiąc: „He, he, Jezus i helikopter? Czy nie mogłeś, Tato, wymyślić czegoś poważniejszego? Tylko Ty masz takie pomysły”. Ojciec tylko zaśmiał się czule, widząc moją religijną konsternację. Po chwili, jakby w zamyśleniu, zapytał: „A czy wiesz, jaki znak najczęściej malowany jest na lądowisku?” Zamarłam, gdy zdałam sobie sprawę, że jest to znak krzyża. Zrozumiałam, że mogę zdobywać te szczyty wbijające się wysoko w chmury tylko dzięki temu, co zrobił Jezus, poświęcając swoje życie dla mnie. Ten dziecinnie banalny obraz został namalowany w mojej wyobraźni. Żart Boga, może... ale ma pointę, której nie można zignorować. Za każdym razem, gdy moje serce czegoś pragnie, mogę zaufać Bogu. Mogę pobiec na Jego górze. Nawet jeśli padnę na twarz, dysząc ciężko. Nawet jeśli dostanę się tam na czworaka. To nie ma znaczenia, bo On będzie czekał na mnie w miejscu, gdzie kończą się moje możliwości. Mój przyjaciel! Mój Kochany! Mój Jahwe Jireh!

Piosenka z kotłowni jeszcze raz wróciła do mnie i pokazała mi, kim jest mój Ojciec. Jak echo tamtego wydarzenia rozbrzmiała dla mnie jeszcze raz jakieś jedenaście lat później. Było późne zimowe popołudnie. Czekałam, aż mój mąż skończy spotkanie służbowe. Siedziałam przy komputerze w sekretariacie i nagle naszła mnie refleksja „Przeskoczyłam trzydziestkę i co osiągnęłam?”

Może naszedł mnie jakiś kryzys wieku średniego albo nagły przyływy głupawki. Znudzona

zaczęłam wpisywać w wyszukiwarkę Google swoje imię i nazwisko. Nic. A potem wszystko, co zaliczałam jako swoje osiągnięcie. Nic. Projekty zawodowe, które realizowałam. Nic. I tak dalej, aż zabrakło mi pomysłu. W jakimś odruchu desperacji wpisałam dawno zapomniany tytuł „Nie zabraknie mi nigdy chleba”. Wyszukiwarka zawahała się chwilę i nagle jedna po drugiej wyskakiwały strony. Odnowy w Duchu Świętym, schola dziecięca, zakony... i wszędzie moja piosenka. Jakim cudem była znana, skoro zaśpiewałam ją tylko raz publicznie na koncercie charytatywnym w zaprzyjaźnionej wspólnotie katolickiej przed Gwiazdką 1997 roku. Co prawda raz, kilka lat temu wydawało mi się, że słyszę ją w telewizji podczas transmisji mszy niedzielnej, ale odsunęłam to od siebie, bo przecież to było niemożliwe. A jednak.

Kompletnie zszokowana pod wpływem impulsu napisałam e-maile do wspólnot, gdzie śpiewano tę piosenkę. Może to dla kogoś nie ma sensu, ale ja bardzo chciałam potwierdzić, że treść tej piosenki jest ciągle aktualna i że choć minęło tyle lat, mój Bóg jest ciągle moim zaopatrzeniem. Jest moim Chlebem i Wodą. Pokładam w Nim całą moją ufność i wiem, że się nie zawiodę. Każdego dnia otrzymywałam odpowiedzi. Czasami zdawkowe, czasami wylewne, ale zawsze miłe. Jeden z tych listów wprowadził mnie w osłupienie. Napisał do mnie brat zakonny, że „Nie zabraknie mi nigdy chleba” jest we wspólnotie, którą prowadzą, pieśnią tradycyjnie śpiewaną podczas Komunii Świętej. Opadła mi szczęka. Zrozumiałam, że kiedy robimy coś w prostocie serca i z miłością, to jest to, co najpiękniejsze dla Ojca.

Poczułam się jak córka, która wchodzi po raz pierwszy do gabinetu swojego Ojca Króla i nagle widzi swój rysunek z przedszkola zawieszony w złotej ramce nad samym biurkiem. I jeszcze ten żenująco niezgrabny podpis pod słoneczkiem, które wygląda jak ośmiornica rażona prądem — KOFAM Cie! kAsIA. I wszystko staje się jasne. Te cztery wersy piosenki stały się tym, co Tata chciał oprawić w ramki jako wspomnienie tamtej chwili. Dnia, w którym zrozumiałam, że mogę Jemu zaufać. To, co wyśpiewała moja dusza, było najlepszym wyrazem miłości, jaki mogłam „narysować” Tacie. Jego serce stopiło się jak воск. Oprawił moją piosenkę w złote ramki i zaczął się nią „chwalić”. Śpiewano tę piosenkę podczas najbardziej wzniosłej części ceremonii w kościołach, odnowach i scholach. Nikt mnie nie znał, nie było mnie nawet w google, a jednak dla Taty byłam kimś ważnym. Zrobiłam coś małego, a jednak On tego nie przeoczył. Przyjął to jak najcenniejszy dar.

Nie powinnam się temu dziwić. Przechowuję po dziś dzień zasuszone kwiatki, które mój kilkuletni Jonatan przyniósł mi ze spaceru. Mam w specjalnym pudełeczku kamyki, które zbierałam nad Wisłą z małym Mikołajem. Jeśli ja potrafię docenić miłość w tych drobnostkach danych mi przez moich synów, to jak mogę myśleć, że mój Ojciec jest inny. Jednak On potrafi być bardziej spektakularny. Trzeba przyznać. Tata ma gest!

Rozdział 7

Tata podnosi wysoko

Mniej więcej po roku mieszkania oddzielnie zauważyłam niewielką różnicę w relacjach z moim tatą. Nie było różowo. Co to, to nie! Raz czy dwa, gdy nachodził mnie kompletnie pijany,

musiałam zatrzaskać mu drzwi mojego domu przed nosem. Nie miałam skrupułów, a moje serce zatrzaskiwało się przed nim z tym samym głośnym hukiem. Jednak czasami, gdy odwiedzałam dom rodziców, a ojciec nie był pijany, to witał mnie z nieskrywaną radością. Zaparzał mi herbatę, przygotowywał jedzenie. Byłam pełna rezerwy, ale zaczęłam z jakąś nieśmiałą nadzieją chodzić do rodziców i oczekiwać, że może dziś tata będzie trzeźwy. Nigdy nie miałam pewności. Mogłam być albo serdecznie witana, albo zastać martwą, pijaną obojętność. Nigdy już jednak nie uczestniczyłam w awanturach domowych. Wiedziałam, że zawsze mogłam uciec do mojego prawdziwego domu. Uciekałam zawsze ramiona Ojca. Był moją ochroną przed zranieniem, lekiem na samotność, antidotum na odrzucenie. Był moją skałą, na której chowałam się, gdy mój świat próbował zatapiać alkohol. Ze swoimi zapewnieniami o miłości na śmierć i życie stał się pewnikiem, któremu nikt nie umiał zaprzeczyć. Wiedziałam, że to, co nas połączyło, nigdy się nie skończy. To była miłość na wieki wieków, amen!

Im bezpieczniej czułam się w ramionach Ojca, tym mniej obawiałam się zranienia w moim rodzinnym domu. W końcu zrozumiałam, że muszę wybaczyć mojemu tacie. Nie było łatwo. Przez bardzo długi czas moje uczucia nie chciały podążyć za moją decyzją. Zupełnie jakby moja wola i emocje były skłóconymi bliźniaczkami. Jedna rozważna, druga romantyczna. Jedna wsłuchana w głos rozsądku, a druga słuchająca wyłącznie swoich odczuć. Zupełnie jak mądry rodzic, który godzi zwaśnione rodzeństwo, Ojciec tłumaczył mi bez końca, że ten konflikt we mnie nie ma sensu. Postanowiłam, że posadzę moje „bliźniaczki” na rower tandem, ale oddam kierownicę tej „rozważnej”. „romantyczna” ze swoimi fochami, nie była godna zaufania. Już nieraz wpakowała mnie w problemy.

Któregoś razu odwiedziłam moich rodziców w wolne popołudnie. Zastałam moją mamę, jak porządkowała zdjęcia w albumach. Słowo „porządkowanie”, to jednak w tamtym przypadku nieporozumienie. Mama cięła nożyczkami moje zdjęcia z dzieciństwa. Nie potrafiła mi jasno wytłumaczyć, o co dokładnie jej chodzi. Ze zdjęcia wycinała całe tło i zostawiała tylko moją postać. Dziwne, wiem. To prawda, że tamte zdjęcia były słabo wykadrowane i więcej niż mnie było na nich jakiejś ławki, drzewa, podwórka, fontanny... ale taka była właśnie ich uroda. Trochę poruszone, niedoskonałe, ale na swój sposób piękne, bo pokazywały mój dziecięcy świat, który chciałam zapamiętać. Uratowałam część moich zdjęć. Większość jednak już trafiła do nowego albumu z „wycinkami” z Kasią. Zagarnęłam wtedy te wszystkie zdjęcia i zaczęłam je oglądać uważnie jak uratowany skarb. Znałam te wszystkie obrazy z fotografii, ale wtedy tak jakbym zobaczyła je pierwszy raz w życiu. Myślę, że to nienawiść wcześniej zamykała mi oczy. Zaślepiła mnie. Przeglądałam zdjęcia i na stole układałam zdjęcia z moim ojcem, zupełnie jakby to był pasjans. Tutaj ktoś zaskoczył nas, jak robimy babki z piasku na plaży. Na innym zdjęciu ktoś uchwycił to spojrzenie, gdy tata patrzy na mnie. Zupełnie jakbym była siódmym cudem świata. Dotarła do mnie prawda i uderzyła we mnie z całą mocą. Byłam kochana!

Nikt nie potrafi udawać prawdziwej miłości, widać ją w oczach, jest wymalowana w każdym grymasie twarzy, napięciu mięśni, ułożeniu dłoni. Patrzyłam na obrazy przed sobą i nie miałam wątpliwości, że byłam kochana naprawdę. Zdjęcia ułożone przede mną zaczęły składać się w jedną ilustrację. Zadawałam sobie pytanie „Jakim cudem nigdy nie czułam się tak kochana?” Patrzyłam na siebie na zdjęciach i widziałam szczęśliwe, uśmiechnięte dziecko. Kiedy straciłam tę beztroską radość? Tak bardzo żałowałam, że te wspaniałe chwile schowały się za murem mojej dziecięcej niepamięci. Gdybym mogła to pamiętać, może moje serce byłoby

spokojniejsze, bardziej ufne.

Jednak dziecko we mnie przestało istnieć, a dzieciństwo, jakie pamiętałam, nie było szczęśliwe. Moje jedno z najwcześniejszych wspomnień to wieczór pełen napięcia w domu pani dyrektor przedszkola, do którego chodziłam. Miałam jakieś pięć lat i tata zapomniał odebrać mnie z przedszkola. Był kompletnie pijany, gdy w końcu późnym wieczorem trafiłam do domu. Nie byłam wystarczająco ważna, żeby o mnie pamiętać. Tak wtedy myślałam.

Pamiętałam też, jak kiedyś tata pijany odebrał mnie z przedszkola i w drodze do domu oparł się o płot i nie mógł się ruszyć. Pamiętam to przerażenie, nie wiedziałam, co zrobić. Mój strach był tym większy, że nie rozumiałam tego, co się dzieje z ojcem. Moja mama ciągle powtarzała, gdy zamykała cicho drzwi od pokoju, w którym ojciec leżał nieprzytomny, że „tata jest chory”. Ja jednak nie byłam na tyle naiwna, żeby nie zrozumieć, skąd się bierze ta „choroba”.

Czasami bezszelestnie zakradałam się do kuchni, żeby wylać do zlewu wódkę, gdy mój tata zasypiał po pierwszych kieliszkach. Ostrożnie, powoli wlewałam alkohol prosto do kratki w zlewie, żeby nie było czuć zapachu. Wlewałam dużo płynu do naczyń i zlewałam wodą. Byłam w swoich oczach odważna i sprytna jak komandos. Czułam misję — pozbyć się wody! Jednak nawet to nic nie dawało, bo gdy tata budził się z pijackiej drzemki z niedosytem alkoholu, wychodził po następną butelkę. I scena tak podobna do reklamy jogurtu „Kasiu, widziałas mój Froop?”. A rozkoszna blondyneczka, chowając za plecami puste pudełeczko, słodko mówi „Niiiiie”. Ale moje „nie” było pozbawione tej dziecinnej, niewinnej przekory. Ja chowałam za plecami pustą butelkę. Czułam żal do siebie, bo gdybym nie wylała tej wódki, to tata upiłby się w domu, a nie wychodził, żeby pić z kumplami.

Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu nie pamiętałam tych spojrzeń z fotografii. Ciepłych i pełnych miłości. Ani serdecznych, silnych ramion obejmujących mnie troskliwie. Zamiast tego pamiętam, jak raz jako kilkuletnia dziewczynka usiadłam na kolanach taty i poczułam się tak źle i nie na miejscu, że uciekłam w panice. Zaczęłam zadawać sobie pytanie, kto kogo odepchnął? A co jeśli opuściliśmy siebie nawzajem? Co czuł, gdy ja, kiedyś taka ufna i pewna jego miłości, zaczęłam uciekać z jego objęć? Czy zabolalo go, gdy pierwszy raz zobaczył w moich oczach odrazę?

Układając moje zdjęcia z wczesnego dzieciństwa, zobaczyłam, że wiele razy powtarza się ta sama scena. Tata podnosi mnie wysoko. Sadza na gałęziach drzewa albo na trzepaku na podwórku moich dziadków lub trzyma w swoich ramionach wysoko uniesionych nad głową. Poczulałam się tak, jakby Bóg wtedy w tamtej chwili usiadł obok, objął mnie i wyszeptał „Widzisz kochanie, Tata zawsze podnosi wysoko. Taka to już jest z ojcami”.

Ta chwila zmieniła wszystko. Była dla mnie jak moment zrozumienia, że mój ojciec nigdy nie chciał mnie zranić i chciał, abym wyrosła ponad wszystko, kim on jest, żebym przerosła wszystkie jego marzenia. Widziałam, że podnosi mnie, zupełnie tak jakby chciał się mną pochwalić przed całym światem i w tym było coś, co skruszyło moje serce, a czego nigdy nie byłam świadoma — ojcowska duma.

Zabrałam jedno ze zdjęć i oparowałam je. Mam tam niecałe dwa latka, siedzę na ramionach taty w kolorowej sukience i chwytam młodą gałąź zielonego dębu. Moje usta są otwarte w bezgłośnym krzyku ekscytacji i strachu. Tata patrzy prosto w obiektyw z uśmiechem tryumfu i

satysfakcji. Jest dumny! Gdy patrzyłam na to zdjęcie już w spokoju mojego własnego domu i rozmyślałam nad swoją pamięcią dziecka, Bóg zaczął do mnie przemawiać tak delikatnie i czule, że moje serce uwolniło się od całej urazy. „Zobacz, twój tata jest z ciebie dumny, pragnienie jego serca to podnieść cię wysoko. Mnie też rozpira duma. Chcę podnieść cię ponad twoje kompleksy i ograniczenia. Chcę, żebyś sięgnęła nieba. Chcę podnieść cię wyżej.” I te słowa z Biblii, które wracały do mnie jak echo. *Gdy Izrael był młody, pokochałem go... To ja sam nauczyłem Efraima chodzić, brałem ich na swoje ramiona, lecz oni nie wiedzieli, że to ja ich leczę* (Księga Ozeasza 11:1-3). Tata podnosił mnie wysoko, a w jego głowie było wtedy tyle dobrych życzeń i marzeń dla mnie. Taka jest natura ojca i nic tego nie zmieni, nawet alkoholizm i ból złamanych obietnic, bo serce prawdziwego ojcostwa i tak nadal będzie odbijać cień tego, kim jest Bóg Ojciec. Nawet jeśli to są tylko nieliczne chwile — przebłyśki prawdziwej miłości i troski. Zostaje tylko pomodlić się tą samą modlitwą, którą modlił się Paweł. *Dlatego zginam kolana moje przed Ojcem, od którego wszelkie ojcostwo na niebie i na ziemi bierze swoje imię.* List do Efezjan (3:14-15)

Świadomość tego, że jest ktoś, kto jest ze mnie dumny, zmieniła mnie. Pozbyłam się większości swoich uprzedzeń. Odwiedzałam rodziców i coraz częściej miałam okazję rozmawiać z moim ojcem. Trochę o telewizji, o gotowaniu, o . Wspominaliśmy też moich dziadków, których uwielbiałam jako dziecko. Zaczęłam być gościem mojego taty, nie mogłam już zamknąć się w swoim pokoju i udawać, że jestem martwa. Piliśmy razem kawę i oglądaliśmy „Modę na sukces”, odcinek tysiąc pięćset sto dziewięćset. Taka nasza mała tradycja. Ja nigdy nie wiedziałam, kto jest kim, a tata z przejęciem opowiadał mi, kto z kim i dlaczego. Było zabawnie. Głupi serial zapełniał chwilę ciszy między nami. Podczas tych odwiedzin zaczęłam powoli opuszczać moją skorupę. Dostrzegałam, pomimo moich uprzedzeń, błysk inteligencji i wspaniałego poczucia humoru mojego taty. To samo nas rozśmieszało, to samo wzruszało. I choć wcześniej nigdy w życiu nie potwierdziłabym tego, byliśmy do siebie podobni.

Po takich chwilach najtrudniej było poradzić sobie z rozczarowaniem, gdy przychodziłam, a tata siedział pijany z wyrazem totalnej obojętności wymalowanej na twarzy. Znikałam wtedy, przestawałam istnieć, nie było mnie. Wychodziłam po kilku minutach, zupełnie niezauważona. Wracałam do swojego domu, a moje serce tłuło się we mnie jak oszalałe. Zupełnie jakby też chciało uciec. I ta odrobina zaufania, jaka rodziła się w mojej relacji z ojcem ulatniała się w jednej chwili. Znowu zaczynaliśmy od nowa.

Tak było przez wiele, wiele miesięcy, jednak za każdym razem wracaliśmy do siebie. Oglądaliśmy kolejny odcinek „Mody...” i znowu naśmiewałam się z głupoty rodziny Foresterów. Zauważyłam też w tamtym czasie, że do mojej pamięci zaczęły wracać dobre wspomnienia. Niepokojąco wszystkie krążyły wokół jedzenia. To był chyba sposób taty na okazanie miłości i rozumiałam to dopiero później, gdy niemożliwie rozpuszczał moje dzieci.

Pamiętałam, jak tata wymyślił nowy deser, specjalnie dla mnie, z tego, co było dostępne w sklepach w latach osiemdziesiątych. Tęczowe pucharki z budyniu, galaretki i kisielu z kleksem bitej śmietany. Rozpusta prosto z PRL-u.

Gdy tata pracował w mleczarni, zabrał mnie któregoś dnia ze sobą. Pamiętam, jak mówił, że to nie potrwa długo. Musi tylko wyprasować twaróg. Byłam taka rozczarowana, gdy tata zaczął coś robić przy takich wielkich kadziach. Myślałam, że ma takie specjalne żelazko do twarogu.

Przyniósł mi też dwa małe kotki, które pałętały się gdzieś w jego pracy. Jeden (o przydomku Czytelnik) rzucał i niszczył książki, a drugi (znany jako Miłośnik Przyrody) załatwiał się do doniczek. Moja mama wspomina je do dziś, szczególnie tego drugiego i zapamiętała to, że przy każdym podlewaniu kwiatów wychodziła na jaw cała (śmierdząca) prawda o naszym kocie. Nie było wyjścia. Trzeba było im znaleźć domy z podwórkiem i zesłać na przymusowe łowienie myszy.

Pamiętam wypad na grzyby, na który zabraliśmy połowę arbuza, który był wtedy nie lada rarytasem. Mój tata nosił go po całym lesie, żeby w końcu, gdzieś w dzikiej głuszy, zrobić dla mnie i mojego małego brata piknik. Znaleźliśmy wtedy rydze i śpiewaliśmy piosenkę „Rudy rydz”.

Zabierał mnie nad jezioro i nauczył pływać.

Przynosił mi w termosie lody z najlepszej lodziarni w mieście, która była niedaleko jego pracy.

To on zawiózł mnie na pogotowie, gdy złamana igła utknęła mi w kolanie. Gdy się okazało, że to tylko powierzchowne skaleczenie, zabrał mnie na pocieszenie do kina „Pod łabędziem” na Bolka i Lolka.

Był ze mną, gdy w szpitalu wyciągali mi zakrętkę od kredki, którą wcisnęłam sobie do nosa.

Przynosił mi goździka na Dzień Kobiet i wręczał z galanterią, choć byłam smarkulą.

Gdy wyjeżdżałam na obozy harcerskie, bladym świtem biegł po świeże pieczywo i robił śniadanie — bułki z serem i kakao.

Zastanawiałam się, gdzie te wszystkie wspomnienia chowały się do tej pory. Ile niepotrzebnej nienawiści zbudowało mój dystans do ojca. Im bardziej rozumiałam, że nigdy nie chciał mnie zranić, tym łatwiej było mi wybaczać. Zaczęłam odczuwać ciekawość. Chciałam lepiej poznać mojego tatę.

Rozdział 8

Rekompensata

Trudno przecenić siłę przebaczenia. Gdy pozbywamy się prawa do wymierzenia sprawiedliwości, nagle wraca do nas zupełnie niespodziewanie rekompensata prosto z nieba. Nauczyłam się, że lepiej jest zostawić sąd najlepszemu i najbardziej sprawiedliwemu Sędziemu na świecie. Uwierzyłam, że On nigdy nie chce nikogo pogrążyć. Gdy oddamy Jemu prawo do osądzenia każdej krzywdy, jakiej doświadczyliśmy, przyjmuje odpowiedzialność i wymierza sprawiedliwość. Ale inaczej niż myślimy. Ludzie, gdy mówią „Bóg cię osądzi!”, zaciskają pięści, ich oczy pełne są gniewu, a serca przepełniają najgorsze życzenia. Taki sąd jednak nie ma nic wspólnego z naturą Boga.

Mój Ojciec stał się dla mnie źródłem sprawiedliwości. Nie rzucił gromów z nieba na mojego tatę, ale odpłacił mi moje krzywdy w zupełnie w inny sposób. Otrzymałam rekompensatę, która z nawiązką wynagrodziła mi to, co straciłam w dzieciństwie — zbudował dla mnie wymarzoną rodzinę.

Mam wspaniałego męża, który jest moim najlepszym przyjacielem i partnerem, mam dwóch cudownych synów. Mam nawet psa, złocistego Golden Retrievera. Zupełnie jak w najbardziej cukierkowych reklamach leków na alergię. Nie wspominając już o dwóch świnkach morskich i złotej rybce. Mam pełną rodzinę.

Kocham i jestem kochana. Moje potrzeby emocjonalne są zaspokojone w stopniu niedoświadczanym nigdy dotąd. Jestem słuchana. Jestem ważna. Jestem rozpieszczana miłością. Jestem szczęśliwa.

Ten etap mojego życia zaczął się kilkanaście lat temu od przebaczenia. Nie czułam wtedy nic szczególnego i nie spodziewałam się, że to może całkowicie zmienić moje życie. Nie potrafiłam spojrzeć tak daleko w przyszłość. Tylko ciągle nalegania Taty „Wybacz swojemu ojcu” i zrozumienie, że to jest dla Niego jakoś wyjątkowo ważne. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że tak działa Jego sprawiedliwość. Przebaczenie jest zaprzestaniem dochodzenia sprawiedliwości i oddanie tej sprawy Bogu. Dla wielu ludzi to trudne, bo ich serca oczekują satysfakcji, gdy ich krzywdziciel dozna kary i cierpienia. Jeszcze niedawno usłyszałam pewną historię, która mnie przeraziła. Pewna wierząca kobieta opowiadała, że ktoś kiedyś o niej źle mówił i to było bardzo krzywdzące i teraz po wielu latach „Bóg wymierzył sprawiedliwość i tamta plotkująca osoba MA RAKA! Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy!” Kurczę. W takich chwilach nawet słowa nie mogę z siebie wykrztusić. O jakiej sprawiedliwości tu jest mowa? Na pewno nie o sprawiedliwości Ojca. Mój Bóg mówi, że za podwójną hańbę On zwraca podwójną zapłatę. (Iz 61:7)

Pewnego dnia postanowiłam wybaczyć mojemu tacie wszystkie zawiedzione nadzieje, niespełnione obietnice i jego słabości, które wiele razy naraziły mnie na niebezpieczeństwo. Właśnie wtedy nic nie czułam. Żadnej ulgi. Nie spadł mi „kamień z serca”. Pozornie nie wydarzyło się nic, a jednak w tamtej chwili całe niebo zatańczyło na samą myśl o tym, jak to odmieni moje życie. Nie byłam tego świadoma, a jednak gdy dziś patrzę wstecz, mądrzejsza o kilkanaście lat, widzę, że ta decyzja zmieniła wszystko.

Najpierw pojawił się w moim życiu Marek. Jeszcze zanim go poznałam, tęskniłam za wielką miłością i w głębi mojego poranionego serca nie wierzyłam, że może spotkać mnie coś naprawdę romantycznego. Godzinami zadreślałam Tatę pytaniami o to, czy poznam kogoś, czy będę miała rodzinę, czy znajdzie się ktoś, kto mnie pokocha. Nie czułam się ładna ani kobieca. Byłam niezależna i niedobrze mi się robiło na myśl, że musiałabym zachowywać się jak słodka kokietka, żeby zyskać czyjeś zainteresowanie. Dlatego byłam tylko tym, kim umiałam być — sobą. A jednak chciałam znać swoje przeznaczenie. To dlatego postanowiłam pościć tak długo, aż Bóg mi odpowie, jak to jest z tym moim mężem, będzie czy nie?

Po trzech dniach postu byłam już tak słaba i sfrustrowana, że zaczynałam wątpić, czy to, co robię, ma jakikolwiek sens. Dziś wiem, że moje przekonanie o tym, że post ma moc zmiękczenia Bożego serca, było po prostu głupie. Jednak moje pytania były szczere. Myślę, że to nie moje niejedzenie zrobiły wrażenie na Bogu, ale to, że właśnie u niego szukałam odpowiedzi i rady. Bóg odpowiedział. Kazał mi pisać (robi tak zawsze, gdy chce, żebym coś koniecznie zapamiętała) i przemawiał prosto do mojego serca. Mówił do mnie, a ja każde słowo spisywałam.

*Dawno nie spotkałem kogoś tak upartego jak ty.
Masz upór proroka. Jesteś uparta jak Eliasza i jesteś wierna. To dobrze!
Twój mąż jest tak blisko od Ciebie, jak blisko jest świt od dnia.
Pokocha Cię pierwszą miłością i w oczach jego zobaczysz, jak Cię pokochał. Wszyscy to będą widzieć.
Będziecie różni jak ogień i woda, ale to dobrze. Kogo trzeba, ty napoisz. Kogo trzeba, on ogrzeje i rozpali serca. Będziesz szczęśliwa, to mój dar. Zbuduję Wasz dom. Każde dziecko, które urodzisz, sprawi, że twój mąż będzie dumny, zwłaszcza z pierwszego syna, który się Wam urodzi. Na zawsze Was pokochałem i kładę ręce, aby was błogosławić. Jestem z tobą aż do skończenia świata.*

Spisałam każde słowo, a potem czytałam to niezliczoną ilość razy. Płakałam i płakałam, a potem zjadłam odgrzaną, przypaloną przez nieuwagę zupę. Nigdy w życiu pomidorówka nie była taka pyszna jak tego wieczoru. Miałam obietnicę Taty i słodczy tej chwili nic nie mogło zepsuć.

Zanim spełniły się słowa proroctwa, minął prawie rok. Oczywiście nie zapomniałam o nich, ale po ludzku spekulowałam, jak mogą się wypełnić. Zapatrzona w swoje rozwiązania prawie przeoczyłam moment, gdy poznałam Marka. Pojawił się na nabożeństwie w pewne środowe, majowe popołudnie i już został w naszej wspólnocie. Polubiliśmy się. Mieszkał tak blisko mojego domu (jak świt od dnia...), że w letnie wieczory zawsze przychodził pomóc mi w podlewaniu ogródka. Nie było w tym nic niezwykłego, ciągle było u mnie pełno ludzi. W końcu mieszkałam w kościele. Siadaliśmy z przyjaciółmi na rozgrzanych słońcem schodach przed domem i gadaliśmy do późnego wieczora. Nie traktowałam Marka poważnie ze względu na różnicę wieku, miał wtedy niespełna 19 lat. Ja byłam starsza o kosmiczne wtedy 5 lat. Nie brałam pod uwagę, że moglibyśmy być parą. Zaprzyjaźniliśmy się i wspólnie podlewaliśmy moje ukochane pomidory przez całe lato. Rozmawialiśmy, śmialiśmy się, chodziliśmy na spacer. W końcu jednak coś się zmieniło. Żadne z nas tego nie planowało, a jednak zakochaliśmy się, ku wielkiemu zaskoczeniu nas samych i ludzi wokół nas. Przez kilka dni Marek nie odwiedził mnie i gdy w końcu przyszedł, staliśmy na dwóch krańcach pokoju wypełnionego ludźmi. Spojrzałam w jego oczy i wiedziałam. Poraziła mnie niezwykła pewność, że to, co w nich widzę, to prawdziwa miłość. „Zobaczysz w jego oczach, jak ciebie pokocha...” Słowa Ojca odbijały się echem w moim sercu. Ku zdziwieniu wszystkich, trzy miesiące później byliśmy już zaręczeni. Na ślub musieliśmy jeszcze poczekać.

Na rok przed ślubem przeprowadziłam się do domu moich rodziców. To była jedyna szansa, aby z mojej urzędniczej pensji odłożyć pieniądze na sukienkę i inne wydatki związane ze ślubem. Bardzo bałam się mieszkania z rodzicami po prawie trzech latach niezależności. Jednak ten czas zmienił wiele nie tylko w moim życiu. Mój ojciec stracił pracę i przeszedł na zasiłek przedemerytalny. Prawie nie wychodził z domu. Tylko gdy dostawał zasiłek, znikał z domu i przez około tydzień przepijał wszystkie pieniądze. To mnie nie dziwiło. Spodziewałam się tego. Byłam jednak wrażliwa jak nigdy dotąd na jego pijacką obojętność. Nie mogłam się pogodzić z tym, że gdy jest w jego życiu wódka, to znika wszystko inne. Ja chciałam być ważna, zauważona, nie chciałam zniknąć. Już nigdy więcej. Chciałam widzieć swoje odbicie w oczach taty. Nie mogłam znieść tej pełnej bólu pustki, którą widziałam w jego spojrzeniu.

Posuwałam się coraz dalej, żeby wyciągać go z tej apatii wywołanej upojeniem alkoholowym. Z bezruchu. Z pustki. Wyciągałam do niego ręce i serce, rozpaczliwie pragnęłam, żeby tata do

mnie wrócił. Pewnego razu, gdy przyszedł do domu pijany, powiedziałam coś, co zrobiło na nim piorunujące wrażenie. Powiedziałam „Kocham Cię”. Może właśnie dlatego, że był pijany łatwiej było mi zdobyć się na to, żeby to powiedzieć, pierwszy raz w moim życiu. Jego ręce zaczęły drżeć. Łzy w oczach i skryty w nich wyraz przerażenia były szczere. Nie umiał nic odpowiedzieć. Drżącymi dłońmi wyciągnął portfel z tylnej kieszeni spodni. Wyciągał pieniądze i płakał, błagając, żebym już tego nie mówiła. Jakby wyznanie miłości sprawiało mu ból. Powiedziałam, że nie chcę jego pieniędzy, że ja po prostu go kocham. Nie byłam w stanie go przytulić. Nie umiałam. Staliśmy w kuchni naprzeciw siebie i zupełnie nie wiedzieliśmy, co zrobić. Czas stanął w miejscu. Zawiesił się. A ja pierwszy raz uświadomiłam sobie, że już nie czuję się zraniona. Pewność miłości Ojca przenikała mnie do tego stopnia, że już nie bałam się odrzucenia. Mogłam mówić „Kocham Cię”, nawet nie oczekując wzajemności. Poczułam też, że to ja mam więcej niż ma mój tata, że tak naprawdę to on jest bardziej zagubiony, mimo że to ja byłam jego dzieckiem. Po pewnym czasie można było zauważyć różnicę; to wyznanie zmieniło coś między nami, choć nie od razu.

Kiedy tu opisuję zmiany w relacji z tatą, to może się wydawać, że to wszystko przychodziło szybko i z łatwością, ale tak nie było. Czasami robiliśmy krok do przodu, a później dwa kroki w tył. Traciliśmy do siebie zaufanie albo cierpliwość. Gdzieś w tamtym czasie ojciec pierwszy raz uderzył mnie w twarz tak mocno, że straciłam równowagę i upadłam. Szok był większy niż ból. Nigdy wcześniej tata nie podniósł na mnie ręki. Nie było więc sielankowo. Na zauważalne zmiany czekałam wiele miesięcy. Byłam raniona i sama raniłam. Byłam odrzucana i odrzucałam. Oboje baliśmy się siebie nawzajem. Nie rozumieliśmy się. A potem znów, jak pola magnetyczne, przyciągaliśmy jedno drugie. Nigdy się nie przeproszaliśmy, nie umieliśmy wracać do tego, co sprawiało ból. Po prostu zaczynaliśmy od nowa w miejscu, w którym byliśmy ostatnio.

Aż któregoś razu wzięłam urlop w pracy. Miałam jakiś ważny egzamin na studiach. Chciałam się uczyć. Rano weszłam do kuchni, żeby zrobić sobie śniadanie. Taty nie było. Zerknęłam do kalendarza i wszystko stało się jasne. Był dzień wypłaty zasiłku. Nagle do kuchni wszedł ojciec, radosny jak skowronek. Patrzyłam na niego zdziwiona, nic nie rozumiejąc, a on położył na stole paczkę z cukierni i delikatnie rozwijał papier. Powiedział tak szczerze i lekko „Wiesz, dziś przyszły pieniądze. Już szedłem na piwo i miałem się napić. Ale potem przechodziłem obok tej nowej cukierni i pomyślałem, że mogę wejść do niej po ciastka i wypić z tobą kawę zamiast siedzieć sam i się upić”. To jedno z miłszych wspomnień z tamtego czasu. Mój tata wybrał mnie! Poranna kawa ze mną była dla niego ważniejsza!. To wspomnienie jest słodkie jak francuskie rożki z kremem, które wtedy zajadaliśmy. Jak tu być szczupłą, skoro wszystkie moje dobre wspomnienia są takie kaloryczne?

Pisałam o tym, że przebaczenie przyniosło mi zadośćuczynienie ze strony mojego Ojca z nieba. Obiecał mi, że będę szczęśliwa i taka jestem. To oczywiście nie oznacza, że nie spotykają mnie problemy i przeciwności. Pomimo wszystko staram się być szczęśliwa zawsze, nawet gdy brakuje mi powodów do szczęścia. Oczywiście czasami jestem skwaszona i mam ciche dni nawet z samą sobą. Jednak prędzej czy później otrząsam się z tego i cierpliwie analizuję w głowie moją szczęśliwą listę rzeczy, za które powinnam być wdzięczna. Mam tyle szczęścia! Moje małżeństwo jest ciągle oparte na tej samej serdecznej przyjaźni jak na początku. Jest takie przysłowie, że prawdziwym przyjacielem jest ten, kto wie wszystko o tobie i nigdy nie przestaje cię kochać. W takim wypadku ja mam szczęście mieć męża, który jest moim najlepszym przyjacielem. Oczywiście to nie jest tylko uśmiech fortuny, ale też odrobina ostrożności i ciągle staranie, żeby nie spłoszyć, nie zranić i nie porzucić wzajemnej miłości.

Żeby mieć przyjaciela, trzeba być przyjacielem. Dbać, słuchać, pielęgnować, być lojalnym. Ale to już temat innej opowieści.

Tak czy inaczej moje proroctwo o mężu się spełniło. Pobraliśmy się i bardzo chciałam mieć dziecko. Jednak przez pierwsze miesiące od naszej decyzji o dziecku, nic się nie działo. Zaczynałam wątpić. Wtedy byłam jeszcze niesamowicie nieufna i ciągle miałam wrażenie, że spotyka mnie zbyt wiele dobrych rzeczy. Podświadomie spodziewałam się katastrofy. Moja dusza podśpiewywała po cichu *Nic nie może przecież wiecznie trwać. Co zesał los, trzeba będzie stracić...* Mój instynkt macierzyński szalał ze strachu. Ciągle byłam rozbita.

Któregoś wieczoru załamana stanęłam przed Ojcem i wyplakiwałam się w Jego ramię. On mi mówił:

Będiesz mieć dziecko, nie bój się..

Byłam tak zagubiona, że błagałam: „Jeśli to mówisz Ty, a nie moje zwariowane emocje, to niech spadnie jutro śnieg”. Były pierwsze dni listopada. Nic nie zapowiadało wczesnej zimy. Skąd ten pomysł ze śniegiem? Nie wiem. Nigdy nie twierdziłam, że mam wszystko tak jak trzeba pod sufitem.

Rano obudziłam się i zaspana stanęłam w oknie. Mieszkaliśmy wtedy na ostatnim piętrze bloku na osiedlu położonym na wzgórzu i z naszych okien mieliśmy perspektywę całego miasta. Widok był zachwycający. Tym razem jednak stałam w oknie i nie widziałam budynków ani drzew, nic... tylko wszędzie delikatną kołderkę białego puchu skrzącego się w słońcu. Czy ktoś mi uwierzy, że tej nocy spadł śnieg? Najprawdziwszy śnieg. Ludzie spacerowali zaskoczeni nagłą zmianą pogody, a ja patrzyłam przez łzy, jak jesienne słońce topi mój znak z nieba. Jak dalej nie wierzyć? Wtedy cicho w moim sercu Bóg przemówił: *Usiądź i pisz. Wzięłam kartkę papieru i zaczęłam pisać. Oto poczęłaś i urodzisz syna. Dasz mu na imię Jonatan (prezent od Boga). Będziesz go uczyć miłości i oddania. Nie musisz się bać, wszystko będzie dobrze. Urodzisz zdrowe i silne dziecko, małego chłopca, którego już kształtuję w tobie. Kształtuję już jego kości i stawy, małe nóżki i małe serduszko. Dbaj o siebie, córeczko. Wiesz, co jest dobre dla ciebie i dziecka. Nie pij tyle kawy. Kocham ciebie. Jesteś moim dzieckiem*”. Mam tę kartkę schowaną na pamiątkę i jest tak zwykła jak notatka wyrwana z zeszytu, a jednak dziś dla mnie ma zupełnie inne znaczenie. Co ciekawe gdy tamtego dnia zrobiłam test ciążowy wynik był negatywny. Podobnie jak następny zrobiony dwa tygodnie później. Wątpliwości targwały mną na wszystkie strony. Dopiero badanie lekarskie potwierdziło, że jestem w ciąży od początku listopada. Urodziłam mojego synka jedenaście dni po wyznaczonym terminie porodu 15 sierpnia 2000 roku. Dostał imię wybrane przez Boga. Jest naszym prezentem od Taty.

Jonatan jest wrażliwym i dobrym chłopcem, już prawie nastolatkiem. Wie wszystko o Star Wars. Jest lepszy ode mnie w obsłudze komputera i czasami z takim wyrazem czułego politowania wymalowanym na twarzy uczy mnie, jak coś działa. Opowiada mi o grach komputerowych, jakbym miała o tym choć trochę pojęcia. Jest pełen współczucia i empatii. Znosi nam do domu chore gołębie, karmi bezdomne koty. Jeździ na deskorolce. Gra w Xboxa. Potrafi zbudować wszystko z klocków Lego. Jest cudownie normalnym jedenastolatkiem. Jednak jest w nim też coś absolutnie niezwykłego. Od najwcześniejszego dzieciństwa Jonatan słyszy Boga. Oczywiście nie chodzi o jakieś nienormalne zwidy. To jest dla niego tak naturalne jak dla mnie, jak część rozmowy z przyjacielem. Gdy mówisz do Ojca, On odpowiada. To widać w Jego relacji z Bogiem, gdy w zupełnie niewymuszony sposób zaczyna się modlić albo podśpiewywać sobie coś pod nosem. Gdy był w trzeciej klasie przyszedł do nas i zapytał, czy może zaśpiewać nam

piosenkę, którą sam ułożył. Oczywiście byliśmy bardzo ciekawi. Zaśpiewał nam:

Bóg troszczy się o nas.

Czy jest ktoś lepszy niż On?

*Troszczy się o nas we śnie,
w szkole, w domu i wszędzie.*

Czy ktoś może ci pomóc mocniej?

*Bóg rozumie niewidomych i głuchych
i każdy może modlić się do Niego.*

Gdy pisząc ten rozdział, zapytałam Jonatana, czy mogę zacytować jego piosenkę, był bardzo podekscytowany. Odszukaliśmy więc tę piosenkę spisaną na okładce od zeszytu i podpisaną starannym pismem mojego syna „Tytuł: Bug rozumie karzdego”. To było takie słodkie, że udawałam, że nie zauważyłam błędów ortograficznych. Nie chciałam psuć tej idealnej chwili. Głupotą byłoby mówić — jestem z ciebie taka dumna, ale każdy pisze się przez „ż”.

W grudniu 2002 roku urodził się nasz drugi syn, Mikołaj. Był dla nas zaskoczeniem i nadał nas zaskakuje, jest taki zabawny i bystry. Był taki moment, wręcz magiczny, gdy byłam z nim w ciąży. Ciągłe zmęczona opieką nad aktywnym dwulatkiem, szukałam chwili, w której mogłabym odpocząć. W pewien letni ciepły dzień, gdy zostałam na chwilę sama w domu, położyłam się na sofie i położyłam rękę na zaokrąglonym brzuchu. To odruchowy gest znany wszystkim matkom. A wtedy maleństwo w moim brzuchu obróciło się i położyło dokładnie pod moją dłoń, zupełnie jakby chciało się przytulić. To właśnie w tamtej chwili pokochałam mojego synka z całego mojego serca.

Mikołaj jest bardzo lubiany i radosny. Ma zupełnie inne spojrzenie na życie niż Jonatan. Jest bardziej pragmatyczny i skupiony na celu. Gra w piłkę nożną. Jest też bardzo hojny i kocha obdarowywać. To urodzony przywódca. Można się o tym przekonać, obserwując jego zachowanie, gdy zajmuje się małymi dziećmi. Jest bardzo odpowiedzialny. Mimo że większość chłopców nie lubi przebywać z maluchami, nasz Mikołaj uwielbia zajmować się dziećmi i jest przy tym niezrównanie cierpliwy. Podchodzi do tego z taką powagą i przejęciem, że to nawet zabawne. Gdy miał siedem lat, poszłam z nim i moją małą bratanicą na plac zabaw. Była zabawa na całego. Dzieciaki właśnie szalały na zjeżdżalni, gdy do Mikołaja podszedł jakiś kolega z podwórka i zaproponował wspólną zabawę gdzieś dalej. Mikołaj spojrzął na chłopca, jakby się urwał z choinki i powiedział z powagą: „Nie widzisz, że zajmuję się dzieckiem”. Uśmiechnęłam się pod nosem, bo to było takie komiczne i siłą powstrzymałam się od komentarza „Halo, to co ja tutaj robię?”, ale to już wtedy pokazało, jak poważnie podchodzi do tych, którzy zostają mu powierzeni. Będzie kiedyś świetnym szefem. Jestem tego pewna.

Niesamowita zmiana, dokonała się w moim tacie, kiedy został dziadkiem. Po prostu zakochał się w swoich wnukach. Do szaleństwa. Patrzyłam na niego, jak tuli chłopców i jaki jest szczęśliwy. Byli jak jego druga młodość. Znowu podnosił ramiona wysoko ponad głowę i patrzył w górę na zachwycone twarze dzieci. Miał do nich anielską cierpliwość. Gdy musiałam coś załatwić, zostawiałam dzieciaki u dziadka. Potrafił sobie z nimi poradzić, nawet gdy były niemowlakami. Co prawda, nigdy do niego nie trafiały moje wytyczne, co mogą, a czego nie. Odpowiedź była tylko jedna „U dziadka wszystko wolno”. Gdy Mikołaj miał może dwa latka, był mocno uczulony na czekoladę. Przyszłam po dzieci i pytam tatę, czy dawał mu czekoladę. Oczywiście, że nie. Po czym do pokoju wchodzi Mikołaj z buzią całą wysmarowaną czekoladą. Nie wiedziałam, czy się złościć, czy śmiać. Dziadek i wnuczek, współnicy od siedmiu boleści. Nawet śladów przestępstwa nie potrafili zatrzeć.

To dla wnuków zawsze było honorowe miejsce na regale na każde nowe zdjęcie. I najbardziej zblizowane na ich punkcie serce. Gdy urodziła się Zuzia, moja bratanica, dziadek zupełnie zwariował. Teraz to dla nich wszystkich biegał po ciepłe bułeczki. Parzył herbatę, swoją specjalną mieszankę Earl Greya, którą dzieci uwielbiały. Gotował dla nich ulubione obiady, zawsze dwa, bo każdy z nich lubił coś innego. Z cierpliwością aniola wyjmował połamane paluszki i popcorn poupychane gdzieś po fotelach. Znosił całymi godzinami Mini Mini, aż w końcu ku radości dorosłych „rybka szła spać”. Został cudownym dziadkiem. Zdarzały się ciągle sytuacje, gdy przychodziliśmy z dziećmi, a dziadek był pijany, mimo że nas się spodziewał. Mój mąż w takich chwilach konsekwentnie robił zwrot na pięcie i wychodził. Nigdy nie zostawiłby dzieci z pijanym człowiekiem, nawet najbardziej kochającym. Myślę, że to spowodowało, że tata przekalkulował sobie, co jest dla niego ważniejsze. Wybrał kontakty z dziećmi.

Gdy teraz piszę, jest już bardzo późno. Usiadłam wieczorem przy komputerze i zastała mnie noc. Wszyscy w moim domu już dawno śpią. Obok mnie leży Hava, nasz pies i co chwilę chrapie przez sen. Może goni we śnie króliki albo koty. I nagle dociera do mnie to całe szczęście, jakie mam. Tak wiele mam. Moja mała i niepozorna radość codzienności. W zlewie czekają naczynia do umycia i niedokończona kolacja zostawiona przez chłopców na stole. Piekłam domowy chleb i jeszcze w kuchni unosi się jego ciepły zapach. Moja codzienność. Taka zwykła, a taka piękna. Spoglądałam z wdzięcznością na gwiazdy za kuchennym oknem. Mrugają do mnie ze zrozumieniem. Moja rodzina jest tak inna od tej, w której się wychowałam. Mam tyle szczęścia. Mój Tata mnie rozpieszcza!

Rozdział 9

Wybór

Macierzyństwo było tym, co najbardziej zmieniło mnie jako kobietę. Narodziny dzieci są najbardziej magicznymi chwilami na świecie. Dawanie życia, gdy rodzi się istota z nieśmiertelną duszą i tak doskonale stworzonym ciałem, to budzi respekt wobec Wszechmogącego.

Pomijając niewyobrażalny ból, to były najbardziej wzniosłe momenty mojego życia.

Nie będę jednak udawać, że to tylko miłe uczucie. Boli potwornie. Gdyby ktoś nagrał, co kobiety wyrabiają na porodówce, byłby z tego kawał dobrego kina akcji. Jedne wzywają wszystkich świętych, inne przeklinają, ile wlezie. Prawdziwy młyn. Gdy rodziłam Jonatana, kobieta, która leżała za ścianą, wrzeszczała, gdy tylko zobaczyła męża: „To przez ciebie! Co ty mi zrobisz!” Potem była litania do Jezusa i Maryi, a na koniec najbardziej soczyste przekleństwa ciskane na męża. I tak ciągle, regularnie, jak skurcze porodowe. W porównaniu z nią byłam cicha jak myszka.

Nie doświadczyłam też takiego łzawego wzruszenia, jakie widzimy w filmach, gdy nienagannie umalowana aktorka przytula noworodka i jest tak słodko, landrynkowo. Ja czułam tylko wielką ulgę, że mamy to w końcu za sobą. Świeżo narodzone dziecko najpierw wydaje się takie jakieś obce. Patrzy się na niego z ciekawością jak na przybysza z innej planety. A już za chwilę dociera w końcu do odpowiednich styków myśli, że już od tej chwili życie jest podporządkowane tej małej istotce i ta różowa bezbronność dziecka nagle powala uczuciem nieznanym nigdy wcześniej i z niczym nieporównywalnym. Jednak doceniłam naprawdę, jakim cudem są

narodziny, gdy straciłam trzecią ciążę.

Nie planowaliśmy tego dziecka. Mikołaj miał wtedy dwa latka. Od prawie pięciu lat nie przespałam całej nocy. Miałam wrażenie, że moje życie było podzielone na okresy ciąży i karmienia. W kółko to samo. Kochałam moje dzieci, ale rutyna mnie zabija. Nienawidzę jej, a małe dzieci wymagają ciągle tego samego rytuału. Miałam wrażenie, że się odmóżdżam. Myśl, że będę wchodzić w kolejny ciąg rutyny po prostu mnie przerastała. Miałam prawie 32 lata i marzyłam o powrocie do aktywności. Gdy domyśliłam się, że jestem w ciąży, chciało mi się płakać. Tydzień oswajałam się z myślą, że będę mamą po raz trzeci. W końcu któregoś wieczoru, gdy kładłam się spać, położyłam dłoń na brzuchu i szepnęłam „Witaj, kochanie”. Potem obwinałam się, że okazałam tak mało entuzjazmu. Zawsze przyjmowałam narodziny dziecka za coś oczywistego. Cięża równała się narodzinom. To było proste. Bułka z masłem.

Jakiś tydzień później poronienie. Szok, strach... Później to uczucie pustki. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyłam. Tak jakby ktoś zabrał mi moje dziecko, nie mogłam go nawet przytulić ani pożegnać. Ponieważ nikomu nie mówiliśmy o mojej wczesnej ciąży, nie mogłam nawet z nikim dzielić tej straty. W wielkiej tajemnicy zwierzyłam się mojej najlepszej przyjaciółce. Wysłuchiła mnie, przytuliła, ale nie potrafiła ukoić mojego bólu i odpowiedzieć na pytanie „Dlaczego?”. Obwinałam się, że coś zrobiłam nie tak, że coś zepsułam. Ciągle analizowałam ostatnie tygodnie. Byłam tak skupiona na stracie, że nie zauważałam tego, jak moi chłopcy odczuwali moje zmienne nastroje. Byłam raz smutna, raz rozdrażniona. Po kilku tygodniach takiego balansowania na skraju depresji moja przyjaciółka delikatnie, ale stanowczo zadała mi pytanie: „Jeśli nie możesz nic zmienić, to dlaczego rozpaczasz? Czy myślisz, że to może coś zmienić?” To pytanie wydawało mi się na początku boleśnie bezduszne, ale wiedziałam, że kobieta, która je zadała tak wiele razy okazała mi bezwarunkową lojalność i miłość, że nie mogłabym posadzić jej o złe motywacje. Zrozumiałam, że bardzo się o mnie martwi. To mnie otrzeźwiło. Zmusiło do spojrzenia w oczy moich dzieci i zobaczenia w nich ukrytej troski. Uświadomiło mi, że nic już nie mogę zmienić. Stało się, a życie toczy się dalej. Miałam szczęście mieć dwóch wspaniałych synów. Zobaczyłam, jak wiele ludzi nie ma tyle szczęścia. Zupełnie inaczej rozumiałam problem poronienia, z którym mierzy się tak wiele kobiet. Słyszymy potem te wszystkie pocieszenia, które sprawiają jeszcze więcej bólu: „będzie następne...”, „nic się nie stało...” Ale to nieprawda, bo stało się coś ważnego i strasznego. Nie będzie już takiego drugiego dziecka, bo właśnie to było jedyne w swoim rodzaju i niepowtarzalne. Najgorsze jest to ciche niedowierzanie, czy to dziecko naprawdę istniało, było prawdziwe. Umysł oczekuje dowodów. Wbrew rozsądkowi ciało jest rozbujane na huśtawce hormonów i prawie tak odczuwalnie jak głód albo pragnienie, potrzebuje maleństwa, które chce ochronić, otoczyć troską. Nie może go dotknąć, zobaczyć utulić. To bardzo boli.

Pewnego wieczoru siedziałam na łóżku i Bóg zaczął do mnie mówić tak ciepło, tak miękko. Rozumiał cały mój ból. Przecież On też stracił swoje dziecko, przeżył śmierć Jezusa. Wiedziałam jak Jego serce cierpi razem ze mną. Czułam, jak martwi się o mnie, jak chce mnie podnieść i ratować z rozpacz. Byłam na etapie obwiniania Go za tę stratę. Gdzie był, gdy mnie to spotkało? Dlaczego właśnie moje dziecko? Zaczął mówić do mnie tak delikatnie i z ogromną troską. „Każda istota na świecie chce zostawić swój ślad istnienia. Twoje dziecko również chce być zapamiętane i ważne, Ty zdecydujesz, jak. Kładę więc dziś przed Tobą życie i śmierć. Daję Ci wybór. Co wybierzesz? Czy znajdziesz jakiś sens w życiu Twojego dziecka w tobie? Coś, czego tylko ono Ciebie nauczyło. Czy wybierzesz

pamięć o stracie i życie w żałobie? Co chcesz pamiętać — jego życie czy śmierć?”

Pojęłam wtedy z całą siłą, że w życiu spotyka nas wiele trudnych rzeczy. Choroba, śmierć, nieszczęścia... Nie mamy na to wpływu, ale możemy zdecydować o tym, jak zareagujemy. Mamy wolną wolę i możemy skupić się albo na śmierci, albo na życiu. Nie było mi łatwo, ale w tamtej chwili już wiedziałam, że nie chcę, aby moje dziecko było zapamiętane wyłącznie przez perspektywę straty. Wybrałam życie! Pomyślałam, że moje nienarodzone dziecko nauczyło mnie więcej o podejmowaniu życiowych wyborów niż tysiące kazań. Dzięki temu utraconemu macierzyństwu narodziło się we mnie coś nowego: wrażliwość na stratę, a także zrozumienie, że to ja decyduję i kreuję swoje życie, nawet w obliczu nieprzewidywalnych dramatów. Postanowiłam żyć za nas dwoje. Odważniej.

Od tamtego czasu minęło już siedem lat. Zdarzały mi się spotkania z kobietami, które straciły swoje nienarodzone dzieci. Rozumiałam je tak dobrze. Wiedziałam, że niewiele więcej można zrobić niż je wysłuchać. Niektóre kobiety szybko otrząsały się ze straty. Dochodziły do porządku nad smutkiem i żalem. Inne przeżywały to, podobnie jak ja, bardzo mocno. Wiem, że z takim stanem nie ma żartów. Wiele kobiet, które poroniły popada w depresję, a nawet usiłuje popełnić samobójstwo. I choć to się wydaje nieprawdopodobne, podobne stany emocjonalne przeżywają kobiety, które dokonały aborcji; ich „poronienie” było mniej lub bardziej świadomą decyzją. Jednak fizjologia straty okazywała się silniejsza niż logiczne argumenty.

Rozmawiałam z różnymi kobietami. Kiedy opowiadałam im o sobie i o tym, że można wybrać to, co się pamięta w związku z tym dzieckiem, patrzyły na mnie, nie zawsze rozumiejąc od razu, a jednak gdy pojęły, że ważniejsze jest celebrowanie życia niż śmierci, nagle ich oczy wypełniały się nadzieją. Pytałam „Każde istnienie ma sens i chce zostawić swój ślad. Ślad istnienia naszego dziecka został ukryty w nas. Czy potrafisz znaleźć w sobie to, co Twoje dziecko chciałoby ogłosić światu?” Chwila konsternacji, a potem poszukiwanie właściwych myśli. A ja? Ja wybieram życie. Znajduję w sobie siłę ważniejszą niż moja żaloba. Kiedyś, przeglądając strony internetowe, przeczytałam coś, co bardzo mnie dotknęło: „Twoja odwaga jest bezużyteczna, jeśli nie okażesz się użyteczna dla innych ludzi”. Właśnie tak myślę! Chcę odważnie żyć, dodając otuchy tym, którzy oplakują stratę. Chcę zachęcać — wybierz życie! Gdyby matki, które straciły swoje dzieci, zebrały się razem i z całą matczyną miłością postanowiły żyć odważniej. Gdyby wybrały pamięć o życiu, zamiast żalu i rozpacz, świat nie zostałby taki sam. Chcę dzielić się tą jedną pełną zachęty prawdą. Cokolwiek cię spotkało, możesz decydować, jak się zachowasz! Możesz zapalać świeczkę na grobie, ale możesz też zapalić światło życia w swoim wnętrzu i ten płomień będzie miał prawdziwą moc ogrzewania ludzkich serc. Będzie blaskiem nadziei, która ponoć umiera ostatnia i miłości, która nie umiera nigdy. „Miłość nigdy nie ustaje...” (I Koryntian 13:8). Robię to wszystko w imieniu istoty mniejszej niż pestka jabłka, ale o sercu wielkim jak świat i sile lwa. W imieniu mojego dziecka.

Opowiadam o tym, co mi się przydarzyło, nie po to, żeby wywołać czyjeś wzruszenie, ale by pokazać, że czasami przydarzają się nam dramaty i nie ma w tym niczyjej winy. Po prostu tak się dzieje. Świat, w którym żyjemy, jest zepsuty i zły. Jednak możemy zdecydować, spojrzeć w oczy najgorszej tragedii i wybrać życie.

Kilka miesięcy po moim poronieniu moja przyjaciółka zaszła w ciążę. Na początku bałam się, że

naszą relację zatrjuje moja zazdrość, jednak nic takiego się nie stało. Zosia, jej córeczka, urodziła się kilka dni po mojej smutnej pierwszej rocznicy. Moje dziecko byłoby niewiele starsze. Byłam jedną z pierwszych osób, która zobaczyła Zosię. Pamiętam to uczucie, którego nie miałam nigdy dotąd. Narodziny stały się dla mnie niewyobrażalnym cudem. Już nie była to bułka z masłem. Fakt, że mogłam przytulić to maleńkie ciało, takie śliczne i różowe, było cudem. Moja przyjaciółka z ogromnym wyczuciem i delikatnością podzieliła się ze mną swoją radością z narodzin, tak jakby to mogło zrównoważyć moja stratę. Ale ja tylko patrzyłam na Zosię i widziałam cud. Doskonałość stworzenia. Arcydzieło. Biblia mówi o nas, że jesteśmy Jego dziełem, „Ponieważ jesteśmy Jego dziełem i w Chrystusie Jezusie zostaliśmy stworzeni dla szlachetnych uczynków, które Bóg wcześniej przygotował, abyśmy w nich żyli”. (List do Efezjan 2:10). Greckie słowo oznaczające dzieło to „poema”, od którego wzięła się nazwa poemat. Jesteśmy Jego arcydziełem, poematem, który stworzył z miłością i mistrzowską precyzją.

Parę lat temu modliłam się z pewną młodą kobietą i prorokowałam do niej. Słowa tego przesłania bardzo mnie dotknęły, bo uświadomiły mi, że każdy z nas jest kimś szczególnym, wyjątkowym dla Ojca i te słowa mogłyby być skierowane do każdej osoby. To fenomen bycia Tatusiową Córeczką i Najlepszym Synkiem Tatusia. Jednym z milionów i zarazem jedynym. Mówiłam wtedy coś takiego: „Byłem przy tobie w chwili twoich narodzin. Gdy zobaczyłem twoją małą buzię, musiałem się uśmiechnąć. To piękno w tobie zdobyło moje serce. Owinęłaś mnie wokół swojego małego paluszka jednym spojrzeniem swoich oczu. Nie ma słów, które opiszą moją miłość do ciebie. „Każde narodziny są cudem dla Ojca. Twoje także”.

Kilka miesięcy po stracie dziecka miałam niezwykle sen, który powtarzał się kilkakrotnie. Znajdowałam się w moim domu w niebie. Wchodziłam do środka i widziałam niedokończone wnętrza, gołe ściany bez kolorów, prawie bez mebli. Tylko widok na zewnątrz był oszałamiający. Jakby dom stał na jakimś klifie, a widok z ogromnego okna ogarniał całe niebo. Morze miało tyle odcieni błękitu, że trudno to opisać. Ten sen śnił mi się kilka razy. Aż jednej nocy sen wzbogacił się o dodatkowy wątek. Zupełnie, jakby te poprzednie sny miały pozwolić mi rozejrzeć się dookoła, zanim spotka mnie w tym miejscu coś nowego. Jak zawsze weszłam przez korytarz prosto do panoramicznego okna z widokiem na niebo, gdy usłyszałam, jak ktoś wchodzi do mojego domu. Obejrzałam się i zobaczyłam mężczyznę. Wiedziałam, że to jest Jezus i choć nie umiem Go opisać, to Jego uśmiech potrafiłabym odnaleźć wszędzie. Tak szczerzy i tak pełen miłości. Spojrzał na mnie i powiedział „Chciałem ci kogoś przedstawić”. I wtedy zobaczyłam, że za nim, uczezione niepewnie Jego nogi, stoi małe dziecko. Zagląda zza Jego pleców tak nieśmiało i tak ciekawe jednocześnie. To było moje dziecko. Wiedziałam to w tej samej sekundzie, gdy zobaczyłam czubek małej główki. Sen urwał się, zanim mogłam je przytulić, poznać czy jest chłopcem, czy dziewczynką, spytać o imię. Wiedziałam jednak, że moje dziecko jest bezpieczne i kochane. Mój Bóg nazywa się Ojcem i ponad wszelką wątpliwość został Opiekunem i Tata dla mojego maleństwa. Był z nim poza granicą, której ja nie mogłam przekroczyć. Ten sen przyniósł mi ogromną ulgę.

Zaczęłam żyć odważniej. Zaczęłam wierzyć, że gdy nadejdzie w końcu ten wielki dzień i pójdę do nieba, nie przywitają mnie puste ściany mojego domu, ale całe ciepło miłości i tęsknoty, którą dziś niezmiennie noszę w sercu. Usiądę w pokoju z widokiem na niebo i będę opowiadać mojemu dziecku całe nasze życie jak wielką, piękną baśń. Już nie będę się bać ani płakać, nie będę tęsknić i martwić się. Zapamiętuję więc dziś wszystkie chwile i zachowuję w sercu, jak w

wielkim sekretniku, zapachy, kolory, dźwięki słów i uczuć. Będę żyć za nas dwoje i zbierać odważnie wspomnienia, zupełnie jak pamiątki z egzotycznej podróży. Aż przyjdzie dzień, gdy wrócę do domu.

Rozdział 10

Dług

W 2005 roku podjęliśmy niezwykle ważną decyzję. Postanowiliśmy oboje z mężem, że oddajemy nasze życie Bogu, w stu procentach. Nie będziemy szukać wymówek, ale będziemy zawsze szukać Jego woli. Nasza postawa była zupełnie niezrozumiała dla otaczających nas osób. Oboje byliśmy liderami w lokalnym kościele. Byliśmy poświęceni temu, co robiliśmy. Modliliśmy się, studiowaliśmy Biblię. Byliśmy hojni. Czego więcej chcieć? A jednak w naszym życiu brakowało satysfakcji. Czuliśmy pragnienie sięgnięcia głębiej. Pójścia dalej. Otworzyliśmy się na Boga.

Gdybym wiedziała wtedy, jak wielkie zmiany to przyniesie do naszego życia przez kolejnych pięć lat, myślę, że nie zgodziłabym się na taką decyzję. Bałam się wtedy panicznie wszelkich zmian, nawet tych najdrobniejszych. Byłam jednak nieświadoma tego, co przyniesie mi kolejne pół dekady. Byłam jeszcze na etapie idealistycznego optymizmu. Wierzyłam w wielkie plany i wzniosłe cele. Myślałam, że najtrudniejszym wyborem jest wyjazd na szkolenie misyjne do innego miasta. Pamiętam jedną przezabawną sytuację z tym związaną. Gdy wyjeżdżaliśmy na spotkanie w sprawie naszej zbliżającej się przeprowadzki, poprosiliśmy nasze dzieci, żeby pomodliły się za nas. Położyły wtedy na nasze głowy swoje małe łapki i pomodliły się, tak jak umiały najlepiej. Jonatan pomodlił się za mamę i tatę, wykorzystując całą swoją elokwencję pięcioletka. Mikołaj, który miał wtedy niewiele ponad dwa latka, z powagą pomodlił się jedyną modlitwą, jaką dobrze znał "Panie Boże, pobłogosław to jedzenie". To było takie słodkie!

Potem przestało być zabawnie. Wyjechaliśmy całą rodziną do misjonarza z Afryki mieszkającego w Polsce, który był od kilku lat mentorem mojego męża. Mieliśmy uczyć się praktycznych zasad wiary, a ja jeszcze w pakiecie dostałam „naukę uległości małżeńskiej”. Nie było łatwo, o nie! Najboleśnieszka była dla mnie uległość i to od razu w standardzie afrykańskim. Głęboka woda dla mojej niezależności. Nasze dzieci miały 5 i 2,5 roku a my wyrwaliśmy je z rodzinnego domu i zabraliśmy do obcego miasta. Jedną z części naszego szkolenia było „życie z wiary”. To było mocne!

Wierzyłam i ufałam Tacie, że On jest tym, który się troszczy. Doświadczyłam Jego zaopatrzenia. Ale mówię szczerze, że ta sama lekcja, gdy ma się dzieci, jest dużo trudniejsza. Dla dzieci chce się wszystkiego, co najlepsze, a my musieliśmy się ograniczać we wszystkim. Serce mi się łamało, gdy musiałam ciągle odmawiać czegoś dzieciom. Starczało nam jednak zawsze na życie. Cienko przędliśmy, ale udawało nam się przetrwać. Wtedy było mi tam tak źle, że bywały dni, gdy zamykałam się w pokoju i wyłam. Nasze małżeństwo przechodziło kryzys. Nie była to nasza ziemia obiecana.

Mimo to wiele nauczyliśmy się w tamtym czasie. Choć proces szkolenia okazał się totalną porażką, doświadczaliśmy czegoś zupełnie nowego, co ugruntowało w nas światopogląd chrześcijański. Poszerzyło perspektywę.

Zostawiliśmy za sobą nasze małe miasteczko, z którego pochodziliśmy i już nigdy mentalnie do niego nie wróciliśmy. Zostawiliśmy za sobą sentymentalne przywiązanie. Mogliśmy już zamieszkać wszędzie, gdzie Bóg nas pośle.

Bóg, jakby na przekór, posłał nas do naszej miejsciny z powrotem. A powrót okazał się większym wyzwaniem niż wyjazd. Byliśmy inni i nie byliśmy już tak dobrze przyjmowani jak do tej pory. Trafiliśmy też w samo centrum pewnych trudnych wydarzeń w życiu kościoła i musieliśmy się w nie zaangażować, bo dotyczyły naszych najbliższych przyjaciół. Po powrocie do domu mieliśmy poczucie niespełnienia i zadawaliśmy sobie ciągle pytanie — po co wyjechaliśmy? Dopiero po kilku latach, gdy już opadł kurz po tamtych wydarzeniach i nasze poruszone afrykańską lekcją serca znów znalazły właściwy rytm, zobaczyliśmy, jak wiele zyskaliśmy, otwierając się na tę przygodę. Nawet jeśli nasza nauka w większości polegała na wyciąganiu wniosków, jacy nigdy nie powinniśmy być. Otrzymaliśmy tam cenny dar w postaci uzdolnienia do empatii. Po wyjeździe zaczęłam docieklive studium biblijne na temat uległości żon, bo nie mogłam wewnątrz siebie uwierzyć, że pokazywany mi wzorzec jest czymś, co mogłoby zostać zaplanowane przez mojego Tatę. Po kilku latach w końcu znalazłam odpowiedź. Napisałam książkę i schowałam ją w cyfrowej szufladzie swojego komputera. Niech dojrze.

A jednak w końcu przygoda to przygoda. Może lepiej taka niż żadna? Życie z Bogiem musi być fascynującą przygodą, bo inaczej nasze serca gnuśniej. Znudzone i zapatrzone w siebie, nie dostrzegają tego, co ma wartość. Przygoda to ciągle zmiany. I to jest piękne. To mówi ta osoba, która bała się nawet przeprowadzki...

Oswoiłam zmiany, a one oswoiły mnie. Nieważne, czy to chwilowe niewygody, czy jakieś dramaty. Dzięki decyzji, o której pisałam w tamtym rozdziale, nauczyłam się, że możemy wybrać, jakie chcemy mieć życie. Strach przed zmianą jest tak naprawdę ukrytym lękiem przed utratą kontroli. Jednak trzeba mieć świadomość, że zawsze mamy wybór, nawet w obliczu sytuacji nieprzewidywalnych, które spadają na nas jak grom z jasnego nieba. To przywraca nam możliwość kontrolowania tych sytuacji. Na przykład banalny deszcz. Nie masz żadnego wpływu na to, że pada. Jednak możesz zdecydować, co zrobisz. Możesz rozłożyć parasol. Albo schować się gdzieś na chwilę i pomarzyć nad filiżanką gorącej czekolady. Albo pobiec szybko. Albo iść wolno. Albo zatańczyć w kałuży i zaśpiewać „I’m singing in the rain”. Tyle jest możliwości.

Lubię patrzeć na życie z tej perspektywy przygód. Nie zawsze to doceniałam, ale gdy przestałam bać się zmian i wpisałam nieodzowne ryzyko (proszę nie mylić z brawurą!) w swoją codzienność, życie stało się pełniejsze.

Któregoś razu siedzieliśmy z Markiem z kubkami kawy i rozmawialiśmy o bardzo trudnych problemach, z którymi musieliśmy się wtedy zmierzyć. Zamyśliłam się i tak mi się jakoś skojarzyło. Powiedziałam „Zobacz, kochanie, mamy życie jak w bajce”. Mąż spojrzał na mnie kompletnie zbity z tropu. Tamtym problemom daleko było do „bajki”. Zaczęłam tłumaczyć. W każdej prawdziwej bajce dopiero na końcu jest „i żyli długo, i szczęśliwie”, a my jako chrześcijanie zawsze możemy być pewni takiego finału. Będziemy żyć, wiecznie szczęśliwi. To jest fakt. Ale każdy szanujący się bohater bajki, zanim dotrze do happy endu, musi spotkać wiedźmy, potwory, olbrzymy, złośliwe trolle i przyjazne krasnale, gadające żaby, skrzynie pełne skarbów, które mogą stać się pułapką, macochy, smoki... Dlatego miałam rację, że nasze życie było jak bajka. Przeciwności, które trzeba przebrnąć. Porażki, z których trzeba wyciągnąć

wnioski. Upadki, po których trzeba się podnieść, otrząpać kolana i iść dalej. Życie biegnie do przodu i jest pełne przygód, które niektórzy widzą tylko jako popełnione błędy. Ja nauczyłam się widzieć w nich wyzwania. Mam też dużo szczęścia, znalazłam swojego Księcia i nieważne, ile żab musiałam wcześniej pocałować... Mam też swoją własną, prywatną bajkę, która niezależnie jak dziś jest zagmatwana, na pewno skończy się happy endem. Skąd to wiem? W końcu jestem córeczką Tatusia. Córką Króla. Królowną. I nie zmienia tego fakt, że dziś umorusana, jak Kopciuszek oddzielam groch od popiołu, czekając na swój pierwszy bal.

Każdy, kto w taki sposób patrzy na życie, zaskoczony jest tym, jak bardzo zmienia to perspektywę. Całe życie staje się ważne. Nie tylko kamienie milowe, które nazywamy naszymi sukcesami. Również to, co jest pomiędzy, czyli najczęściej nasze błędy, na których musimy się uczyć. W naszym kochającym perfekcję i doskonałość świecie nie ma czasu na docenianie porażek. Są takie krępujące, ale to dzięki nim stajemy się lepsi. Dać sobie prawo do popełnienia błędu jest największym przejawem pozytywnej wiary w siebie i poczucia własnej wartości. Jest jak poklepanie samego siebie po ramieniu i pocieszenie: „nawet jeśli coś pójdzie nie tak, to wiem, że zrobisz wszystko, co możliwe, żeby jak najwięcej się dzisiaj nauczyć i być lepszym jutro”. Ale ja musiałam wyciągnąć wiele wniosków z własnych błędów, żeby nauczyć się takiego podejścia.

Nie znałam tego rodzaju wyrozumiałości dla własnych błędów, gdy wróciliśmy do naszego małego miasteczka. Broniałam się i czułam się zraniona. Po doświadczeniu niedawnego niedostatku we wszystkim, postanowiliśmy poszukać spełnienia, odbijając w najdalszy biegun. Z całym impetem wróciliśmy do biznesu. Założyliśmy firmę. Pracowaliśmy ciężko we dwoje z mężem, ale już po kilku miesiącach firma rozkwitła. Nie musieliśmy już martwić się o pieniądze. Mieliśmy dużo więcej, niż sami potrzebowaliśmy. Inwestowaliśmy pieniądze w firmę. Rozwijaliśmy ją. Zatrudniliśmy więcej pracowników. Rozszerzyliśmy działalność. Ludzie nam gratulowali, Ignęli do nas. Telewizja regionalna zrobiła z nami wywiad. Zdaniem wielu byliśmy skazani na sukces. A jednak... Firma upadła. Mogłabym wyliczać powody, bo minione lata skłoniły nas do wielu refleksji. Ale po co? Po tylu latach tłumaczenia się, już nie chce mi się nawet szukać usprawiedliwień. Firma upada i winny jest właściciel. Nieważne są okoliczności. Nawet jeśli to pracownicy zawiedli, to szef ponosi ostateczną odpowiedzialność. Łatwiej jest użalać się nad sobą, trudniej być dojrzałym i pogodzić się z konsekwencjami. Bolesnie potłuczeni, wtedy nie widzieliśmy żadnej drogi wyjścia. Wpadliśmy w panikę. Ludzie się rozproszyli. Już nie było okłasków i gratulacji. Czarny koń wyścigów okulał, przestał być faworytem.

Nie będę pisać o tym, co zdarzyło się w firmie, ani analizować tamtych decyzji. Nie będę rozczulać się nad sobą. Może tylko dla osób, będących w podobnej sytuacji, którym zdarzy się zajrzeć do tej książki, chciałabym powiedzieć, że nie są sami na świecie. Długi niosą za sobą ogromny ciężar poczucia winy i strachu. Rozumiem to i wiem, że te uczucia są jak pętla na szyi. Jednak jest nadzieja. Zawsze jest nadzieja! Dlatego najbardziej chcę pisać o tym, jak Tata pomógł mi wyjść z tamtego stanu beznadziei. Jak wyciągnął mnie z depresji i poczucia straty. Po to, by pokazać, że zawsze jest nadzieja.

Gdy zastraszanie doszło do momentu, gdy zaczęliśmy obawiać się o bezpieczeństwo swoich dzieci, byłam na skraju załamania. Wtedy musiałam przejść kontrolne badania lekarskie. Coś zaniepokoiło lekarza i zlecił dodatkowe badania. Przez tydzień czekałam na wynik poziomu

markierów nowotworowych. Jako pielęgniarka rozumiałam procedury medyczne i w normalnych okolicznościach nie tworzyłabym żadnych czarnych scenariuszy, ale w tamtym czasie to było już za dużo. To była moja kropka nad i. Kres mojej odporności. Wróciłam ze szpitala, schowałam się pod kocem i udawałam martwą przez kilka dni. W mojej głowie stoczyła się prawdziwa wojna. W perspektywie poważnych problemów zdrowotnych moje dylematy zupełnie się przewartościowały. Firma, długi, wierzyciele wszystko to przestało być końcem świata. Najważniejsze stały się dzieci i uratowanie małżeństwa. To było jedyną prawdziwą wartością, o którą warto było walczyć. Pieniądze były i ich nie ma, będą albo nie. Ludzie zawsze będą gadać i plotkować. Ale rodzina to był mój największy skarb. Jeśli o coś warto było walczyć, to tylko o nią. Po kilku dniach wstałam z łóżka z zupełnie nową determinacją. Odebrałam wyniki badań — były dobre. Postanowiłam zabrać dzieci w bezpieczne miejsce, z dala od pogrózek i zagrożeń. Znalazłam idealne miejsce. Wynajęliśmy okazyjnie dom na wsi i zamieszkałam tam z dziećmi. Mąż przyjeżdżał do nas w każdej wolnej chwili. Było mi przykro, że zostawiłam go z całym balastem upadającej firmy, ale on nigdy się nie skarżył, choć widziałam, że często czuje się samotny.

Nasz dom na wsi stał się naszą ostoją. Dzieci szalały na podwórku. Poszły do małej wiejskiej szkoły. Poznawały nowych przyjaciół. Były szczęśliwe. Mieszkaliśmy tam przez rok i czas tam spędzony wspominam jako jedno wielkie uzdrowienie.

Takie mam chyba szczęście do mieszkania w wyjątkowych miejscach. Podobnie jak kiedyś w moim małym mieszkaniu, tak w tamtym domu z wielkimi świerkami pilnującymi wejścia jak mityczni wartownicy, poczułam się bezpiecznie. Tata zamieszkał ze mną. Mówił do mnie tak głośno i słyszalnie, choć Jego głos słyszało tylko moje serce. Rano wstawałam i odprowadzałam dzieci do szkoły i przedszkola. Potem wracałam do domu i kładłam się do łóżka, zbierając siły, żeby je odebrać ze szkoły za kilka godzin. Każda czynność wymagała takich nakładów energii, że wydawało się to niewykonalne. Banalne czynności jak gotowanie obiadu czy zakupy, były tak wyczerpujące, że musiałam odpoczywać nawet po obieraniu ziemniaków lub po zamykaniu schodów. Walczyłam z depresją. Mobilizowałam się tylko dla dzieci. Uśmiechałam się na siłę i odrabiałam lekcje z moim dzielnym pierwszoklasistą. Za wszelką cenę chciałam zachować pozory normalności, ale ciągle czułam się na granicy rozpacz. To była straszna walka. Zamknęłam się w sobie. Tylko Tata znajdował klucz do mojego serca.

Najpierw zaczął mi pokazywać całą wspaniałość swojego stworzenia. Liście na jesiennych drzewach. Kolory babiego lata. Śpiew ptaków. I w końcu gwiazdy. Wychodziłam na taras w nocy i milczałam pod rozgwieżdżonym niebem. Nie umiem wyjaśnić, dlaczego widok nocnego nieba tak bardzo mnie uspakajał. Na wsi, gdzie uliczne latarnie nie przeszkadzają w obserwowaniu gwiazd, niebo jest dosłownie usiane światłami. Stawałam tak wpatrzona i chłonełam wielkość Boga. Doskonałość Jego stworzenia dodawała mi otuchy i pocieszała. Mówiłam sobie: „ten, kto stworzył to wszystko, jest moim Tatą i nigdy, przenigdy ze mnie nie zrezygnuje”.

Znalazłam też niespodziewane lekarstwo na depresję i narzekanie. Tanie, ale skuteczne. Choć stosowanie go wymagało ode mnie na początku sporo samozaparcia.

Tata naciskał i powtarzał: "Dziękuj za wszystko! Zawsze znajdź coś, za co możesz być wdzięczna!" No i ten fragment z Biblii, który nie dawał mi wtedy spokoju: „W sercach waszych niech rządzi pokój Chrystusowy, do którego też powołani jesteście w jednym celu, a bądźcie wdzięczni” (Kol.: 3:15). W głowie mi kołatało ciągle „a bądźcie wdzięczni, a bądźcie wdzięczni...”

Najpierw obiecałam sobie, że każdego dnia wieczorem podziękuję za 10 rzeczy i choć to może wydać się dziwne, miałam problem ze skompletowaniem tej listy. Na palcach jednej ręki szybko wyliczałam, ale następna ręka to już nie było takie proste. Musiałam zmusić się do szukania choćby najmniejszych powodów do wdzięczności.

Efekt zaskoczył mnie samą. Po kilku tygodniach nabrałam nawyku szukania pozytywnych stron każdej sytuacji. Zauważałam miłe drobiazgi, jak picie porannej kawy na tarasie i wsłuchiwanie się w śpiew ptaków. Ponieważ miałam problemy ze snem, zdarzało mi się przesiadywać w oknie i czekać na świt, który zapierał dech swoim pięknem. Zachody słońca nad jeziorem, każdy codziennie inny. Gdy szuka się powodów do dziękowania, nie sposób zachowywać depresyjnego i negatywnego nastawienia.

Wdzięczność to ogromna moc opakowana niepozornie. Jeśli ktoś niezadowolony ze swojego życia zaczyna dziękować, to musi przygotować się na rewolucję. Dziękowanie uszczęśliwia. Nie od razu, ale przy odrobinie cierpliwości przynosi niespodziewane efekty. To prosta metoda warta wypróbowania. To jedna z najważniejszych rzeczy, jaka wpłynęła na moje życie. Zanim się tego, nauczyłam miałam skłonności do „bycia ofiarą”. Nie rozumiałam, że użalając się nad sobą, zyskuję co prawda ludzkie współczucie, ale ono jest bardzo zwodnicze. To miłe uczucie, gdy ludzie pochylają się nad tobą, głaszczą po główce i pocieszają „moja ty biedulko”. Krótkie chwile spędzone w centrum uwagi. Nie twierdzę, że współczucie jest złe, ale prawda jest taka, że mamy je okazywać, a nie oczekiwać go. Bycie ofiarą uzależnia. Jest jak narkotyk i zmienia percepcję. Człowiek ciągle musi żyć dramatem, żeby skupić na sobie uwagę. Koncentruje się na wszystkich negatywnych rzeczach, jakie się przytrafiają. Do pewnego czasu taka rola mi odpowiadała, pławiłam się we współczuciu. Lubiłam gdy ludzie stawali w mojej obronie, tłumaczyli moją bierność i bezsilność nawet przede mną samą. Mówili „Rzeczywiście, w twojej sytuacji nic nie możesz zrobić”. Mój Boże kochany! Jak ja żałuję, że wierzyłam w te bzdury!

Poparcie ludzi czy ich niechęć, to wszystko nic nie znaczy. Po raz pierwszy poczułam niesmak na myśl o tym, że miałabym tłumaczyć się i okazywać słabość. Podniosłam głowę. Zachowałam dla siebie strach, upokorzenie, wstyd. Bolało! Czasami miałam ochotę się bronić. Wykrzyknąć, że prawda nie jest taka jednostronna. Ale potem zadawałam sobie banalne pytanie „po co?” Poniżać się dla poklepania po ramieniu i przyznania mi prawa do słabości. Po co? To była dobra decyzja, choć miałam wrażenie, że cały mój znajomy świat odwrócił się ode mnie. Przekonywałam siebie, po co mi przyjaciele, którzy mnie oceniają, nie wysłuchując mnie? Tacy przyjaciele są gorsi od wrogów. Trzeba od nich uciekać daleko.

Po kilku miesiącach znalazła się moja dobra znajoma, która przy okazji spotkania po długim czasie powiedziała „To straszne, co was spotkało. Musiało być ci ciężko. Tak ci współczuję. Jesteś naprawdę biedna...” Naprawdę chciała być miła. Normalnie to byłaby woda na młyn dla użalania się nad sobą. Pamiętam tę chwilę. Stałyśmy w przejściu i obejrzałam się za siebie, żeby zobaczyć, do kogo mówi. Byłam kompletnie zaskoczona, gdy zrozumiałam, że chodzi o mnie. Tylko, że ja już nie chciałam być „biedulka”. Odpowiedziałam najuprzejmiej, jak umiałam, że trzeba żyć dalej. To było oficjalne pożegnanie z Kasią — ofiarą losu. Bardzo uważnie pilnuję, żeby nie pokazywała się w okolicy, choć czasami „biedulka” próbuje mnie odwiedzać, gdy dopada mnie zły dzień. Czasami śpi na wycieraczce pod moimi drzwiami, licząc, że w końcu się ugnę. Żal mi jej czasami, ale ostatecznie mówię, że między nami już wszystko skończone i straszę, że poszczuję psem, jak się zbliży. Mam szczęście, że tamta ofiara losu boi się nawet

własnego cienia, bo inaczej wiedziałyby, że nasza goldenka Hava przywitałaby ją z całą serdecznością swoich trzydziestu kilo i odstąpiła własne legowisko. Z miską byłoby gorzej...

Gdy poprzez wdzięczność pokonamy użalanie się nad sobą, następnym krokiem jest zdobywanie się na dziękowanie innym i okazywanie wdzięczności, szczególnie najbliższym. Nie trzeba wielkich okazji. Wystarczy podziękować dziecku za wyniesienie śmieci albo mężowi za umycie kubka. To niezwykle, jak proste „dziękuję” zmienia samopoczucie drugiej osoby. Po kilku latach treningu przychodzi mi to bez trudu.

Teraz uwielbiam patrzeć na twarze ludzi w takich zwykłych sytuacjach, gdy dziękuje się im za coś, nawet jeśli to część ich pracy. Ludzie to zapamiętają. Jakiś czas temu robiłam zakupy w sklepie papierniczym. Szukałam specyficznej konturówki i zaczęłam rozmawiać ze sprzedawczynią o możliwości sprowadzenia tego produktu na zamówienie. Swoim obecnym zwyczajem podziękowałam za rozmowę i pomoc, a wtedy pani, jakby ją coś olśniło, mówi do mnie: „Pani robiła u nas zakupy kilka miesięcy temu i kupowała to i tamto...” Nie pamiętała mnie, ale przypomniała jej się moja wdzięczność.

Czasami po prostu nie mogę się powstrzymać. To jest silniejsze ode mnie. Niedawno w Biedronce przy kasie zwróciłam uwagę na pewną kasjerkę. Wszystkie towary przesuwiała przez czytnik, a potem odkładała delikatnie do zapakowania. Czasami kasjerzy ciskają zakupami jakby przerzucali cegły, ale ta Pani była zupełnie inna. Powiedziałam po prostu, że doceniam i dziękuję za to, że tak delikatnie odkłada moje zakupy, bo nie muszę się martwić, że owoce, które kupiłam będą poobijane. Pani spojrzała na mnie zdziwiona, ale uśmiechnęła się i podziękowała za komplement. Od tamtej pory zawsze mówimy sobie z uśmiechem „dzień dobry”, gdy spotykamy się przypadkiem na ulicy. Gdybyśmy więcej dziękowali, byłibyśmy bardziej szczęśliwi i moglibyśmy uszczęśliwić wiele osób wokół nas. Naprawdę niewiele trzeba. Czasami wystarczy kilka miłych słów lub uśmiech.

Ostatnio przygotowywałam obiad z moim starszym synem. Na koniec powiedziałam proste „Dziękuję, że mi pomogłeś”. Nic wielkiego, ale po chwili milczenia mój nastolatek powiedział „Wiesz, mamo, lubię, jak ktoś mi mówi „dziękuję”, bo wtedy czuję, że zrobiłem coś, co jest dla kogoś ważne”. Pomyślałam chwilę, pogłaskałam mojego potomka po jasnej czuprynie i przyznałam mu rację. Kilka godzin później, już późno w nocy, gdy wszyscy spali, pomalowałam paznokcie i musiałam poczekać, aż lakier wyschnie. Zgasiałam światło w kuchni i zapatrzyłam się w noc za oknem. Zaczęłam rozmawiać z Tatą. „Dziękuję Ci za zbawienie, za życie, za wszystko nowe...Dziękuję Tato...” Ostatnio stwierdziłam, że nawet trudno mi się modlić, jeśli nie dziękuję. Teraz nie potrzebuję już rąk, żeby wyliczać na palcach powody do dziękowania. Tak sobie więc wymieniałam wszystkie moje dziękczynienia, aż Tata pochylił się w moją stronę i powiedział: „Ja też Ci dziękuję”. Uśmiechnęłam się zażenowana, za co może być mi wdzięczny mój Wielki Bóg. To On dał mi wszystko, co mam i co mogę mieć. Moje marzenia, moje życie, wszystko jest ukryte w Nim i dzięki Niemu. Spojrzałam więc w niebo z wymalowanym znakiem zapytania na twarzy. A Tata z absolutną powagą jeszcze raz powiedział „Dziękuję ci, że mnie wybrałaś”. Dał mi chwilę, aż prawda tych słów dotrze do mojego umysłu i zrozumieć, że choć cały świat jest Jego darem, to dzięki wolnej woli mogłam to przyjąć albo odrzucić. Jeśli Bóg Dawca Wszystkiego potrafi znaleźć powód do wdzięczności, to tym bardziej powinni być mu wdzięczni wszyscy obdarowani.

A gdy już dotarła do mnie głębia Jego słów i nie zostało mi nic innego niż uśmiechnąć się w stronę nieba. Pochylił się nade mną i szepnął, wskazując na moje schnące paznokcie

„Naprawdę ładny kolorek”. Kocham mojego Ojca za to. Choć jest taki niepowtarzalny i wielki, to potrafi być taki kochanie zwyczajny. Uwielbiam to w Nim!

Rozdział 11

Bezdomna

Mój dom na wsi stał się też dla mnie miejscem, w którym ukryłam jedno z moich najpiękniejszych wspomnień. Jak to często bywa, zrodziło się w zupełnie niespodziewanej chwili. Mijał prawie rok, odkąd wyprowadziliśmy się z naszego rodzinnego miasta. Po wszystkich naszych problemach moje relacje z tatą całkowicie się zmieniły. To on tak bardzo był dumny i kibicował nam, gdy firma odnosiła sukces. Przeżywał jej upadek i martwił się o nas. Gdy rozstaliśmy się z tatą po wyprowadzce na wieś i widywaliśmy tylko co kilka tygodni, nagle siła tęsknoty zbudowała nasz związek w zupełnie nowy sposób. Każde spotkanie było jak święto. Nawet jeśli mogliśmy przyjechać tylko na krótko to czekał na nas ulubiony obiad: kotlety schabowe, ziemniaczki i kapusta szmurowana (u nas w domu mówiło się sznurowana). Do tego zawsze domowy kompot, dla każdego inny, bo „u dziadka wszystko wolno”. A potem siadałam w kuchni z tatą i rozmawialiśmy. Nawet nie wiem, kiedy się tak bardzo zaprzyjaźniliśmy. Zwierzałam się tacie, a on starał się nie oceniać. Zawsze powtarzał, że „modli się tylko o jedno, żeby nam się wszystko w końcu poukładało”. A ponieważ nie był religijny, wiedziałam, że chodzi o to, że z całego serca życzy nam dobrze. Cokolwiek pozytywnego się stało, to cieszył się z nami, a nawet najmniejszy sukces świętował tak, jakbyśmy wygrali w Totka. Nowością dla mnie było to, że mój tata czekał na mnie z niecierpliwością. Najpierw myślałam, że chodzi tylko o dzieci, ale potem zobaczyłam, że tak samo cieszy się, gdy widzi mnie i Marka.

W tamtym czasie niespodziewanie spotkało mnie odrzucenie przez kogoś bliskiego z rodziny. Usłyszałam wiele gorzkich słów. Bardzo bolało. Chwyciłam słuchawkę telefonu i z płaczem zadzwoniłam do taty. Nie zastanawiałam się, po prostu zadzwoniłam do mojego zaufanego przyjaciela. Słuchał mnie przez dłuższą chwilę. Nie oceniał nikogo. Nie radził. Po prostu zapytał „Poradzisz sobie z tym?” i było w tym tyle szczerzej troski. Długo rozmawialiśmy. Na samym końcu odważyłam się poprosić: „Powiedz mi, że mnie kochasz”. Pierwszy raz w życiu. Tak bardzo potrzebowałam odtrutki na wszystkie te złe słowa odrzucenia, które usłyszałam. Chciałam usłyszeć, że jestem kochana. Gdybym nie była wtedy tak bezbronna, to nie odważyłabym się na to. Po drugiej stronie zaległa chwila ciszy i odgłos przypominający cichy śmiech. Pomyślałam „Nie, tylko nie to!”. A potem zrozumiałam, że mój tata płacze i łamiącym się głosem w końcu powiedział „Bardzo cię kocham!”. Płakaliśmy oboje. Czekałam na tę chwilę 35 lat! Wcześniejsze odrzucenie przestało być tak rozdzierająco bolesne. Mój tata mnie kochał i to było jak balsam. To był moment całkowitego uzdrowienia naszej relacji. Ja wybaczyłam jemu wszystkie stracone lata, a tata z całego serca próbował mi je zwrócić. Zrekompensować mi wszystko, co straciłam. Miałam najlepszego ojca na świecie. Dzwonił do mnie i mówił z czułością, że tylko chce usłyszeć mój głos. Tęsknił za mną. Mówił „kochanie”, „słoneczko”, „córeczko”. Gdy przyjeżdżałam, siadał obok mnie blisko na kanapie i trzymał za rękę albo niezgrabnie obejmował. Nie było nam łatwo okazywać sobie czułość. Nie umieliśmy, czuliśmy się dziwnie nieswojo, a jednak próbowaliśmy. Już nie potrzebowaliśmy „Mody na sukces” do

rozmów. Siadaliśmy w kuchni i piliśmy razem kawę. Jak dwoje przyjaciół. Ufaliśmy sobie nawzajem.

Przed przyjazdem zawsze musiałam zadzwonić i powiedzieć, na co mamy smaka. Każdy z nas mógł sobie zażyczyć coś dla siebie. Bywało, że czasami tata robił cztery dania, bo każdy miał ochotę na coś innego. Nie mieliśmy wyrzutów sumienia, bo wiedzieliśmy, że te przygotowania sprawiają mu przyjemność. W ten sposób okazywał nam swoją miłość. Rozpieszczając nas.

Wiem, że nie doszłoby do tego uzdrowienia, gdybym nie wybaczyła mojemu tacie. Zdaję sobie sprawę, że nie każdy, nawet jeśli szczerze wybacza, doświadcza takiej zmiany. Ja miałam wielkie szczęście. Zastanawiam się też, czy nie miało na to wpływu to, że Bóg stał się moim Ojcem. Moje poczucie bezpieczeństwa było ukryte w kimś, kto nigdy nie zawiódł, zawsze dotrzymywał słowa, kochał mnie niezachwianie. Nigdy nie ukrywałam tego przed moim tatą. Mówiłam mu, że mój Ojciec jest także jego Ojcem. Myślę, że to zwolniło mojego tatę od pewnego rodzaju presji i już nie musiał bać się, że zawiedzie. A zawodził i zdarzały się mu wpadki, ale to były tylko krótkie incydenty, niewiele znaczące wobec tych wszystkich naprawdę istotnych zmian.

Krótko po tamtej rozmowie telefonicznej właściciel wynajętego domu poinformował nas o sprzedaży domu. Znów czekała nas wyprowadzka. Nasza sytuacja finansowa była tragiczna. Gdy dostałam propozycję bycia administratorem kościoła w zamian za mieszkanie (tak, tak, historia lubi się powtarzać), nie zastanawialiśmy się długo, ale przyjęliśmy z wdzięcznością ofertę. Budynek był jednak w okropnym stanie. Czekало mnie kilka miesięcy ciężkiej fizycznej pracy. Nie bałam się tego. Czułam się potrzebna i to mnie motywowało. Mój dzień pracy trwał 24/7, zawsze do dyspozycji. Wiedziałam, z czym jest związana ta funkcja, ale tym razem było mi trudniej. Byłam mamą i żoną z zobowiązaniami wobec rodziny, budynek był ogromny w porównaniu z tamtym małym kościółkiem, w którym mieszkałam przeszło 10 lat wcześniej, do tego rozległy ogród i napięty grafik remontów. Tym razem jednak miałam do pomocy pana Jarka, konserwatora, jak go nazywałam. To był utalentowany majsterkowicz i przy tym był bardzo pracowity. Cichy i małomówny na początku, z czasem okazał się miłym i inteligentnym człowiekiem. Wszyscy bardzo go polubiliśmy.

Na początku naszej współpracy powiedziano mi, że jest alkoholikiem z „mózgiem wyżartym przez alkohol”, ale po kilku miesiącach wspólnej pracy i rozmów stało się jasne, że prawda o Jarku jest zupełnie inna. Poznawaliśmy jego życie. Miał czterdzieści kilka lat i nie miał rodziny. Mama umarła, potem siostra i brat. Został sam ze swoim tatą alkoholikiem i psem. Jarek szedł do pracy, a potem kupował ojcu alkohol i pili razem. Ojciec zmarł. Pies odszedł. Zostało mu tylko mieszkanie w bloku. Sprzedał je za namową koleżków i przepił z rozpacz. Nie zostało mu nic. Stał się bezdomnym alkoholikiem. Takiego go poznaliśmy. Dostał od kościoła kątek do spania pod warunkiem, że będzie pracował i zachowa całkowitą trzeźwość. Wytrzymał prawie rok. W międzyczasie wykonał dużo drobnych remontów. Był bardzo pracowity. Mieszkaliśmy w tym samym budynku i w pewnym stopniu staliśmy się jego rodziną. Zawsze bałam się bezdomnych siedzących gdzieś na dworcach. Nie wyobrażałam sobie podejść do nich i zagadać. Jarek przekonał mnie, że bezdomni to ludzie jak inni. Z własną historią pełną dramatów. Ale często właśnie takie życie „niebieskich ptaków” wybierają, choć to wydają się trochę nienormalne. Dlaczego piszę o Jarku? Chyba jestem mu to winna, bo za każdym razem, gdy słuchałam, jak opowiada, mówiłam „Jarek, kiedyś w książce o tobie napiszę!”, na co on obruszał się skromnie „Jo, jo” (co po naszymu znaczy w wolnym tłumaczeniu „tak, tak... a świstak siedzi i zawija je w sreberka...”). Lubiał czytać i nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby trafić na kartki książki, a

jednak na to zasłużył. Stał się wujkiem Jarkiem dla naszych chłopców, naprawiał im rowery, żartował z nimi. Nasz pies chodził za nim jak cień, zakochany w nim od czasu, jak Jarek zrobił jej osiem kawałków chleba z pasztetową, bo chciał zobaczyć, czy żołądek Havy ma w ogóle jakieś dno, a co wydało się dopiero po naszych długich dociekaniach, czemu pies nagle kręci nosem na suchą karmę.

Nasze drogi z Jarkiem rozeszły się wiosną 2009 roku. Zaczął pić i musiał odejść. Wrócił znów na ulicę Gdyni. Łapał jakieś prace sezonowe i pił. Spotkaliśmy się jeszcze kilka razy rok później, jak po raz kolejny próbował skończyć z piciem. Szczupły, łysiejący, w okularach, bardzo niepozorny. Nie zwrócilibyście na niego uwagi, jeśli siedziałby gdzieś na ławce. Dopiero niedawno dowiedzieliśmy się, że pił w jakimś garażu z kolegą, zasnęli, ktoś zaproszył ogień. Spalili się obaj. Nie ma już Jarka i jego historii. Opowiadam więc o nim, żeby zachować pamięć. Pamięć o człowieku.

Mieszkając w budynku kościoła, znów miałam szczęście być w miejscu niezwykłym. To nie było komfortowe mieszkanie. Nasza łazienka była poniżej standardów. Ciepła woda była tylko w kilka wyznaczonych godzin w ciągu dnia, a latem była tylko co dwa dni. Kuchnia była wspólna. Mieliśmy zimną plagę myszy, z którymi nie mogliśmy się uporać, nie mówiąc już o innych niedoskonałościach tamtego mieszkania. Nie było nas jednak stać na nic innego, więc nie narzekaliśmy. Codziennie z moimi chłopcami dojeżdżałam autobusem miejskim do wiejskiej szkoły, do której wcześniej chodzili. To była ta maleńka namiastka stabilizacji i znajomego środowiska, które znali. Pomimo trudnej sytuacji, staraliśmy się ich chronić, najlepiej jak potrafiliśmy.

Gdy przyjmowałam obowiązki administratora, musiałam zobowiązać się i obiecać, że będę wypełniała te obowiązki przez rok. Dałam słowo, bo wiedziałam, że nikt nie palił się do przeprowadzki do tego miejsca. Trochę to przypominało sytuację sprzed lat, bo do tego kościoła sprowadził mnie ten sam człowiek, który był pastorem w tamtym małym kościółku, w którym kiedyś mieszkałam. Tak więc współpracowaliśmy już kiedyś, znaliśmy się i mieliśmy do siebie zaufanie.

Po kilku miesiącach zostało postanowione, że część budynku zostaje przeznaczona na hostel dla bezdomnych. Zostaliśmy o tym ogólnie poinformowani i gdybym wcześniej nie poznała Jarka, pozbywając się uprzedzeń, to nie zniósłabym myśli, że mam mieszkać z bezdomnymi za ścianą. Przygotowałam pokoje na przyjęcie lokatorów. Było bardzo skromnie, ale czysto i na każdego z nich czekała świeża pościel, ręczniki i podstawowe umeblowanie.

Tak właśnie zamieszkaliśmy z bezdomnymi.

Brzmi trochę przerażająco, ale to było bardzo ciekawe doświadczenie. Po naszych porażkach nie byliśmy tak skłonni do oceniania tych ludzi. Traktowaliśmy ich bez uprzedzeń. Konkretnie, mówiąc wszystko prosto z mostu, ale zawsze uprzejmie. Byliśmy „domownikami” w tym samym budynku i to był również ich dom. Gotowaliśmy we wspólnej kuchni, każdy dla siebie. A w niedzielę przygotowaliśmy jeden wspólny posiłek. To był taki eksperyment, ale cudownie się sprawdził. Zawsze było z nami kilku panów w hostelu, jedni byli na krótko, inni przebywali tam miesiącami. Oni wszyscy traktowani per „pan” i z szacunkiem; nagle przypominali sobie o zapomnianej godności. Niedzielny obiad to było święto. Był obrus, kwiatki z ogrodu, rozstawione nakrycia i coś pysznego do jedzenia. Co tydzień nakrywaliśmy dla około dwunastu osób. Każdy był domownikiem i wnosił coś do obiadu. Jeden kupił to lub tamto i tak obiad był składany razem. Potem koniecznie kawa i ciasto. To był bardzo miły czas. Nasi panowie byli elegancko ubrani, pachnący i czysti. Przy wspólnym stole każdy z nas był jednocześnie gościem i

gospodarzem. Zdarzało się, że czasami zapraszaliśmy kogoś na wspólny obiad. Najulubiejsza była Babcia Zosia, przeszło osiemdziesięcioletnia kobieta z naszego kościoła. Kochana po prostu. Siadała z nami i wystarczyło, że była. Prosiłam: „Panowie, zatroszcicie się o Babcie”, a oni opiekowali się nią przy stole. Babcia Zosia nie dosłyszała, więc czasami były zabawne pomyłki, albo darliśmy się jeden przez drugiego, żeby coś jej powiedzieć. To były naprawdę miłe chwile.

Wtedy nauczyłam się, że każdy człowiek potrzebuje szacunku. Gdy traktujesz kogoś uprzejmie i z godnością, to taka osoba „dorasta” do tych słów. W naszym „domu” nie było poniżających komentarzy, mówienia na „ty” do starszych, przeklinania, krzyku lub wyzwisk. W efekcie wystarczyło tylko uprzejmie o coś poprosić i nie było problemu, żeby coś było zrobione czy poprawione. Oczywiście to byli ludzie po przejściach i nie zawsze było różowo. Zachowywaliśmy ostrożność i wszelkie zasady bezpieczeństwa, szczególnie gdy chodziło o nasze dzieci, ale spotkanie z bezdomnymi nie było dla nas jakąś traumą. Wiele się od nich nauczyliśmy. Asertywność i szacunek może zdziałać cuda.

Naważniejsza była konsekwencja. Zasady były odgórnie wyznaczone — proste i jasne, ale ich złamanie było jednoznaczne z wyrzuceniem za drzwi. Zwłaszcza jeśli to dotyczyło alkoholu. To było przykre. Zapamiętałam Leszka. Przystojnego, młodego mężczyznę. Przyszedł do nas po roku spędzonym w ośrodku odwykowym. Odmawiał grzecznie kawy, bo nie chciał żadnych używek, żeby nie wpaść w ciąg. Prowadził dzienniczek terapeutyczny każdego dnia. Był bardzo miły i szczerze chciał zmienić swoje życie. Dostał pracę jako brukarz. Był silny, miał atletyczną budowę i przy tym był pracowity. Niedługo później otrzymał awans na brygadzystę z wyższą pensją. Wszystko wskazywało na to, że już wkrótce się usamodzielni. Jedno spotkanie z bratem przekreśliło wszystko. Nie dowiemy się pewnie nigdy, co się wtedy stało, że tak szybko się złamał. Upił się wtedy. Gdy wrócił pijany, miał pół godziny na spakowanie rzeczy. Mój mąż osobiście wystawił go za drzwi, choć bardzo go lubiliśmy. Takie były zasady. Gdyby nie były tak konsekwentnie przestrzegane, następnego dnia wszyscy chodziliby na rauszu. Leszek nie miał dokąd pójść i stał pod naszymi oknami, pukał, przeproszał. Nie mogliśmy już nic zrobić. To było trudne, ale pokazało nam, że taka twarda miłość jest czasami konieczna. Byli też panowie, których się bałam, ich opowieści więzienne, które miały być zabawne, nam stawały włosy na karku. Jednak na szczęście nikomu nigdy nic się nie stało. W pewnym sensie mieliśmy też coś w rodzaju protekcji dzięki sympatii Jarka, byliśmy jego „rodziną”. Przez większość czasu było spokojnie i każdy był zajęty swoimi sprawami.

Za to Tata był wtedy tak blisko dla mnie. Im było trudniej, tym łagodniej On mnie pocieszał. Miałam w Nim tyle poczucia bezpieczeństwa. Zawsze mogłam Mu ufać, cokolwiek się działo. Wtedy jakoś szczególnie dużo się działo w mojej relacji z Bogiem. Zaczynałam powoli rozumieć, czym jest Jego niewyobrażalna łaska i słyszałam Jego głos. Szukałam Go z całego serca. W niedzielny poranek 19 kwietnia 2009 obierałam ziemniaki na obiad. Dla takiej ilości ludzi trzeba było szybciej je przygotować i potem tylko wstawić przed obiadem. Włączyłam płytę TGD. Lubiliśmy jej słuchać, bo nasz przyjaciel, który z nami mieszkał, Mirek „Kolah” rapował na tym koncercie. Kolah to świetny człowiek, cudowny przyjaciel, jego świadectwo tego, jak wychodził z narkotyków i kryminału, jest przejmujące i absolutnie prawdziwe. Zawsze mu kibicowaliśmy podczas jego muzycznych osiągnięć. To dlatego dla nas wszystkich płyta TGD była taka specjalna. Czasami włączaliśmy ją w kuchni i śpiewaliśmy wszyscy głośno. Oj, działo się! Tamtego ranka byłam w kuchni sama i zasłuchiwałam się w słowa z jednej piosenki. Tak mnie

poruszyły, że włączałam ją znowu i znowu...

W ciszy na Twym progu siedzieć będę, cieszyć się że jesteś moim Bogiem.

Oczekuję Ciebie Panie, Jesteś mym oczekiwaniem,

uspokajasz serce moje, uciszeniem jesteś i pokojem mym...

To była cała prawda o tym, jak się czułam w tamtej chwili. Modliłam się tymi słowami i pracowałam w kuchni. Godzinę później siedziałam w kościelnej kaplicy i słuchałam kazania. Nagle przed moimi oczami zaczęły pojawiać się obrazy, tak jakby ktoś rozpiął przede mną ekran. To trudne do opisanie. Byłam jakby w dwóch wymiarach. Słyszałam kazanie i rejestrowałam wszystkie sprawy w świecie naturalnym, a jednocześnie wyraźnie widziałam i słyszałam coś, co było niewidzialne dla innych.

To, co zobaczyłam było piękne, a barwy i faktury trudne do opisanie. Mimo to postaram się to opowiedzieć jak najdokładniej. To było zupełnie jak film obejrzany w letnim kinie.

Na wysokim progu siedziała mała dziewczynka. Miała nie więcej niż pięć lat. Obejmowała pulchnymi rączkami kolana i wpatrywała się przed siebie. Pamiętam, że miała delikatne i bardzo jasne włosy do ramion. Ubrana była w sukienkę z białego płótna, trochę zakurzoną, ale nie brudną. Siedziała na masywnym, szerokim drewnianym progu, który wyglądał na bardzo stary i mocno wysłużony. Za dzieckiem były szeroko otwarte wrota, a za nimi było widać dziedziniec. Ciężkie drzwi bramy były w kolorze niebieskim i to nadawało im dziwnej lekkości. Zauważyłam, że ich kolor ciągle się zmienia, raz były kobaltowo niebieskie, a za chwilę stawały się ciemno błękitne. Potem zauważyłam, że odbija się w nich niebo, ale one nie były lustrem, one były... niebem. Dziewczynka wpatrywała się w drogę przed sobą, której kolor był intensywnie złocisto żółty. Co jakiś czas wiatr unosił piasek na drodze, który opadał, skrząc się jak drobinki złota. Aż po widnokrąg ciągnęła się przestrzeń. Nie widziałam żadnych szczegółów tego, co było w oddali, wszystko rozmywało się jak barwna plama we wszystkich odcieniach zieleni i brązów. Widziałam dziewczynkę z ogromną dokładnością i patrzyłam na nią bardzo długo. Wtedy zrozumiałam, że Bóg po swoim odpowiedział na moją modlitwę:

„w ciszy na Twym progu siedzieć będę... oczekuję Ciebie Panie”.

Widziałam to, jakbym oglądała fragment filmu. To było fascynujące, ale nie wiedziałam, co znaczy. Wtedy wewnątrz siebie powiedziałam, że chcę więcej. W jednej chwili zmieniła się perspektywa. Wiedziałam, że ta mała dziewczynka siedząca na progu swojego domu to ja. Patrzyłam na tę sama scenerię, ale już jej oczami. Byłam gotowa zobaczyć więcej. Od tej chwili już nie byłam obserwatorem, ja po prostu „stałam się” tym dzieckiem. Byłam małą dziewczynką, o niebieskich oczach i delikatnych bardzo jasnych włosach, która siedzi na progu, wyczekując. Zaczęłam widzieć wszystko oczami dziecka. Tamta rzeczywistość była dla mnie znajoma i czułam się bezpieczna.

Czułam tęsknotę i radość zarazem, uczucie, które zna każdy, kto czekał na coś z niecierpliwością. Słońce zaczynało zachodzić i droga zmieniła kolor na bardziej pomarańczowy. Powietrze całe było przesycone kolorami zachodzącego słońca.

— Tu jesteś. — Jakaś postać w długiej białej sukni przysiadła na progu obok mnie. Wiedziałam, że jest mi bliska. Nie mogłam rozpoznać jej płci i choć była subtelna jak kobieta, to wiedziałam, że jest odpowiedzialna za moje bezpieczeństwo. To był mój anioł.

— Tata kazał cię odszukać.

— Czekam na Jezusa. Już niedługo wróci do domu i opowie mi o swoich przygodach.

Mogłabym go słuchać bez końca. — Zamyślona podciągnęłam kolana pod samą brodę. Po chwili milczenia poprosiłam. — Opowiedz mi o Ukochanej.

Ukochana to była moja najstarsza siostra, była piękna i młodziutka, choć mnie wydawała się

bardzo dorosła. Chodziła w biało-żółtej szacie z zasłoną na głowę. Opiekowała się młodszymi dziećmi takimi jak ja i była dla nas wyrozumiała jak matka. (W Biblii jest mowa o tym, że to Kościół jest Oblubienicą, Ukochaną Jezusa, którą wykupił swoją krwią od śmierci i niewoli.)

— Słyszałaś tę historię już wiele razy — Odpowiedział anioł z uśmiechem.

— Proszę... — spojrzałam błagalnie w łagodne oczy mojego opiekuna. Anioł uśmiechnął się delikatnie i widać było, że darzy Umiłowaną szczególnym uczuciem.

— Gdy twój Tata ją znalazł, była w strasznym stanie. Była tylko trochę starsza od ciebie, ale nie było na jej ciele miejsca, które nie byłoby zranione. Nielezione rany wrzodziały, a włosy były pozlepiane w kołtuny i zawszawione. Ten, który nazywał się jej ojcem, ale który był Kłamcą, wystawił ją na sprzedaż jak niewolnicę. Twój Tata pokochał ją, gdy tylko ją zobaczył, chciał ją zabrać natychmiast. Rozgniewał się bardzo i wyrwał ją z rąk Kłamcy. Powiedział, że jeśli tknie ją jeszcze raz, to go zabije. Przyniósł ją tu w swoich ramionach. Zapłacił za nią straszną cenę, ale jesteś za mała, żeby to zrozumieć. Możesz wiedzieć tylko tyle, że jej uwolnienie kosztowało Jezusa życie.

— Nigdy mi o tym nie mówisz. — Podniosłam brodę z rozczarowaniem.

— Przyjdzie czas, maleńka, gdy wszystko zrozumiesz. — Anioł delikatnie pogłaskał mnie po głowie.

— W każdym razie — mój opiekun ciągnął dalej swoją opowieść — gdy Umiłowana przyszła do nas, miała inne imię. Nazywała się Odrzucona. Bała się wszystkiego i przez długi czas nie pozwalała się nikomu dotykać. Do czasu uwolnienia była gwałcona, bita i wykorzystywana, nie potrafiła więc zrozumieć, że Tata nie chce jej skrzywdzić.

— Przecież Tata jest zawsze dobry, nie mogę tego zrozumieć.

— To dla ciebie takie proste, ale wiesz, że ciągle przychodzą do nas nowe dzieci, które jeszcze długo odczuwają strach przed Tatą. — Anioł stuknął mnie łokciem delikatnie w bok i mrugnął do mnie. — Ty też czasami boisz się Taty. Szczególnie jak napsocisz.

Wiedziałam, o czym mówi, ciągle wpadałam w kłopoty. Mój anioł dobrze wiedział o moich przygodach.

- No dobrze ... czasami — przyznałam rację opiekunowi. — Ale Umiłowana... Czy ona teraz nie boi się Taty?

— Nie odczuwa tak potwornego strachu, jaki towarzyszył jej na początku. Choć jeszcze nie do końca rozumie i wierzy w to, że została wybrana.

— Czy ona nie widzi, jak Jezus ją kocha?

— Oczywiście, że widzi, ale może myśli, że On zasługuje na kogoś lepszego od niej.

— Nie mogę doczekać się ich ślubu. Może ty wiesz, kiedy będzie wesele?

— Nikt tego nie wie, maleńka. Tylko Ojciec. — Anioł zapatrzył się w dal. — Tylko On wie, kiedy zabliznią się wszystkie rany jej serca i będzie gotowa zostać Oblubienicą.

Słońce zaczęło przypominać ogromną pomarańczową kulę. Siedzieliśmy w ciszy i oczekiwaliśmy na Jezusa, który miał wrócić do domu. Dołączały do mnie inne dzieci, które przysiadły na progu. Anioł został wezwany do pomocy przy przygotowaniu kolacji. Dzieci śmiały się i rozmawiały, każde chciało być tym, które pierwsze wypatrzy Jezusa. Zobaczyliśmy Go, jak nadchodził, prowadząc objuczonego osiołka. Wiedzieliśmy, że to prezenty dla nas. Choć każdy z nas był tylko adoptowanym dzieckiem, to wszystkie byłyśmy rozpieszczane i obdarowywane tak, jakby każdy z nas był jedynakiem. Uwielbialiśmy swojego starszego Brata, a On uwielbiał nas. Każdy z nas chciał być jak najbliżej Niego. Dzieci, wołając Jego imię, pobiegły przed siebie. Stałam na progu i zaczęłam drzeć się na całe gardło, krzycząc do wnętrza domu.

— Tatusiu, Jezus wrócił. — Potem pobiegłam za innymi dziećmi.

Jezus był roześmiany i każdego z nas znał po imieniu. Dzieci przekrzykiwały się i próbowały opowiedzieć wszystko, co wydarzyło się dzisiejszego dnia. Wiedzieliśmy, że jest zmęczony, ale nic w Jego postawie tego nie zdradzało. Podbiegłam do niego i pociągnęłam Go za rękaw.

— Jesteś. Już myślałam, że nie czekałaś na mnie. — Jezus uśmiechnął się w taki sposób, jakbym była jedynym dzieckiem na świecie. Zawsze zastanawialiśmy się, jak On to robi, że każde dziecko w Jego obecności czuło się szczególne i wyjątkowe.

— Uzdrowiłeś dzisiaj kogoś?

— O tak, i to wielu ludzi.

— Opowiesz nam o tym?

Jezus skinął głową. Spojrzałam w Jego oczy i nie znajdę słów, aby opisać ich łagodności i miłości, jaką w nich zobaczyłam. Trzymałam Jezusa za rękaw i słuchałam, jak rozmawiał z innymi dziećmi. Nikt z nas nie czuł zazdrości, bo każdy rozumiał, że Jego miłości i uwagi nie zabraknie dla żadnego z nas. Podeszliśmy do bramy domu. Drzwi nabrały odcienia głębokiego kobaltu, gdy stanął w nich Tata. Mężczyzna o rysach twarzy, z których nie można było odczytać wieku. Nam dzieciom wydawał się ogromny, ale znaleźmy serce Taty i Jego łagodność. Stanął na progu i w całej Jego postawie widać było, jak promieniuje dumą, miłością i szczęściem. Patrzył na nas i na Jezusa, delektując się naszym widokiem. Gdy Jezus stanął przed Nim, Tata objął Go z ogromną serdecznością.

— Synu— szepnął. I było w tym jednym słowie cała tklivość i pełnia miłości. Położył dłoń na jego ramieniu i przeprowadził przez próg. W tym czasie słudzy odprowadzali osiołka do innego wejścia.

Weszłam za nimi na dziedziniec domu otoczony wysokim murem zbudowanym z kamieni białych jak śnieg. Dokoła dziedzińca przebiegały półokrągłe półcienie dające kojący cień w upalne dni. Płyty, którymi wyłożone były chodniki wokół dziedzińca miały kolor starego złota. Czułam ich chłód pod stopami. Jezus usiadł na ławce w przedsionku i wtedy przysła Umiłowana. Była piękna i patrzyłam na nią z podziwem. Przyniosła dzban z wodą i Iniany ręcznik.

— Witaj, Panie — powiedziała cicho.

— Witaj, Umiłowana. — Głos Jezusa nie potrafił ukryć miłości, jaką darzył stojącą przed Nim kobietę.

Jezus patrzył na nią oczami tak zakochanymi, że my dzieci zaczęliśmy się szturchać i cicho chichotać. Jezus nic nie widział oprócz Umiłowanej, która spuściła wzrok, skupiając się na obmyciu Mu stóp. Uklękła przed Nim i wylała powolnym strumieniem zawartość dzbanka. Poczulałam zapach olejku różanego, który dodany był do wody. Umiłowana nie odezwała się i z trudem opanowywała nieśmiałość. Otarła Jego stopy ręcznikiem. Gdy skończyła, Jezus podał jej dłoń, żeby pomóc jej wstać.

— Dziękuję, Umiłowana — powiedział do onieśmiałej kobiety.

Nie pozwoliliśmy Jezusowi patrzeć za Umiłowaną. Wszystkie dzieci jedno przez drugie pytało o nowe prezenty. Dostawaliśmy je od najlepszego przyjaciela Jezusa, który nazywał się Duch Święty. Wiedzieliśmy, że to z Nim codziennie wyrusza do swoich zadań. Chcieliśmy Go poznać i zobaczyć, ale Jezus śmiał się, że zobaczymy go na Jego weselu, a póki co muszą wystarczyć nam prezenty od Niego. Nikt nie dawał nam wspanialszych prezentów niż Duch Święty. Zawsze wiedział, co jest potrzebne każdemu z nas. Wiedzieliśmy, że kocha nas i to właśnie On znalazł i przyprowadził każdego z nas do tego domu, choć dobrze tego nie pamiętaliśmy, bo byliśmy na to zbyt mali.

Jezus przekomarzał się z nami i gilgotał nasze stopy, aż do czasu, gdy zobaczył, jak Umiłowana

próbuję rozjuczyć osiołka z cennych podarunków. Zwierzę nie chciało podejść do schodów z dziedzińca i stanęło uparte na samym środku. W łagodnych promieniach słońca błyszcząca siwa, wypielęgnowana sierść osiołka. Umiłowana próbowała ciągnąć osiołka za uzdę, ale to nic nie pomogło. Jezus zeskoczył lekko z chodnika na ubity dziedziniec, świadomy tego, że jest obserwowany przez wiele dziecięcych oczu. Mali chłopcy i dziewczynki kręciły się na swoich miejscach, wyczekując zabawy, dobrze wiedziały, co będzie dalej.

— Poradzimy sobie z tym, Umiłowana. — Mrugnął okiem do kobiety, a ta odpowiedziała mu nieśmiałym uśmiechem.

Najpierw chwycił uzdę osiołka, ale to nic nie zmieniło. Zwierzę stanął jak wryty. Jezus zaczął głaskać głowę osiołka, żartując i obiecując mu różne smakołyki. Dzieci śmiały się, widząc, jak osiołek potrząsa z uporem głową. Wtedy Jezus oparł się o zad zwierzęcia i udawał, że go próbuje pchać. Osiołek zaczął rzeć i wszyscy, nawet Umiłowana, roześmiali się głośno. Dzieci pokładały się ze śmiechu, patrząc na Jezusa. Wtedy On spojrzął w oczy osiołka, pogłaskał jego kudłatą grzywę i powiedział ze zrozumieniem

— Mam rozdać dzieciom ich prezenty teraz?

Osiołek pokiwał głową i wtedy dzieci podbiegły ze śmiechem do Jezusa, który zdejmował podarunki z toreb. Znały talent Jezusa do stwarzania chwil pełnych radości i żartów. Juki były duże i jakby nie miały dna, były z pięknej mocnej tkaniny w kolorze malinowej czerwieni, przetykanej fioletowymi i złotymi nićmi, wykończone frędzlami w kolorze purpury i lawendy. Rozpakowywano prezenty wśród cichych westchnień zadowolenia. Wtedy drzwi domu otworzyły się i stanął w nich Tata. Wycierał ręce w ręcznik, tak jakby jeszcze chwilę wcześniej zajmował się pracą w kuchni. Był Tatą, który widząc swoje dzieci, rozpromienia się wewnętrznym szczęściem kogoś, kto jest dumny i spełniony.

— Dzieci, kolacja gotowa. — Na Jego twarzy promieniał najpiękniejszy uśmiech świata.

Widziałam za Jego plecami dużą salę oświetloną blaskiem świec. Widziałam kilku aniołów, którzy zapalali światła i układali naczynia. Wiedziałam, że któregoś dnia ta sala będzie miejscem, w którym odbędzie się uczta weselna Jezusa i Umiłowanej.

Ktoś położył mi rękę na ramieniu. Spojrzałam w górę i zobaczyłam mojego anioła.

— Maleńka, czas się przygotować...

Obraz tamtego domu został jakby wypalony w moim sercu. W najcięższych momentach zwątpień i smutku wracam do tamtego miejsca. Jeśli jest jakieś schronienie dla mojej duszy, które potrafię nazwać domem, to jest to właśnie wspomnienie szerokiego drewnianego progu i mieniących się niebieskich drzwi nieba.

Gdy minął rok mojego zobowiązania, odeszliśmy z kościoła, w którym byliśmy. W naszych sercach wymalowany był obraz łaski Bożej. Poznaliśmy Boga, który nigdy nie osądza, który kocha pomimo grzechów, nie ocenia błędów. To było jak nowe życie dla nas. Nic się nie zmieniło zewnątrz, ale wewnątrz już byliśmy inni. Ciągłe w długach, a jednak zaczęliśmy szukać swojego przeznaczenia, bo uwierzyliśmy, że Tata nigdy z nas nie zrezygnował. Założyliśmy małą wspólnotę w tym samym mieście, w jakim mieszkaliśmy. Zebraliśmy przez to sporo niesłusznych gromów. Jeśli zdarzy się, że ktoś, kto to będzie czytał, będzie w podobnym miejscu jak my wtedy — rozdarty między tym, co mówi Bóg, a tym, co według ludzi jest dobre i przyzwoite, proszę, wybieraj zawsze powołanie od Boga. Może się pomylisz, może popełnisz błędy, ale to i tak niewiele w porównaniu z tym, co się stanie, gdy pozwolisz się pochłonać „kościelnej polityce”. Znam to od kulis i niezmiennie czuję niechęć. Pomówienia, kłamstwa, manipulacje, tego nie powinno być w żadnym kościele, ale jest wszędzie tam, gdzie ktoś walczy

o władzę, a sprawowanie kontroli stawia wyżej niż miłość. Tam gdzie jest prawdziwa miłość, tam jest też wolność. Zawsze powtarzam, że gdy da się ludziom miłość i wolność, to nigdy nie odejdą, bo będą się czuć bezpieczni. A wszędzie tam gdzie jest kontrola, tam jest polityka religijna. Oczywiście zdarzały się przykre chwile, gdy na ulicy nie odpowiadano na nasze „dzień dobry” albo robiono nam drobne złośliwości. Jednak wtedy Bóg nauczył mnie, że mam zawsze patrzeć na całość relacji. A gdy odwracałam wzrok i patrzyłam wstecz widziałam najczęściej lata, a nawet dekady cennych przyjaźni. Przykrości stawały się mniej istotne gdy oceniałam je przez pryzmat długoletnich relacji. Nie mam żalu i czasami szczerze tęsknię za ludźmi, którzy odwrócili się ode mnie.

Nie mogliśmy poskromić naszego pragnienia opowiadania ludziom o dobrym Bogu. Tak wielu ludzi siedziało w tylnych ławkach swoich kościołów przekonanych, że skoro zawalili, to już nie ma dla nich nadziei. Wtedy Bóg dał Markowi słowo, aby stworzyć iBÓG.pl, stronę internetową na której zaczęliśmy opowiadać o łaskawym Bogu, który nie odrzuca nikogo. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że jest wielu ludzi w podobnej sytuacji jak my i chcieliśmy dodać im odwagi. My pozbyliśmy się tego przejmującego poczucia winy i strachu, a zyskaliśmy nadzieję. Strona ciągle zyskuje nowych użytkowników. Aż trudno nam uwierzyć, że kiedyś na naszą stronę zaglądało 40 osób miesięcznie. Poznaliśmy ludzi, których wsparcie i zachęta dodaje nam skrzydeł. A otrzymane doświadczenie pozwoliło nam docenić drogę „małych kroków”. Powoli, bez pośpiechu, wyznaczamy nowe cele i spacerkiem do nich dążymy. Daliśmy sobie prawo do popełniania błędów. Ale z każdej porażki wyciągamy wnioski. Liczymy za i przeciw. Unikamy brawury, nie bojąc się ryzyka.

To jest teraz nasza bajka!

Rozdział 12

Terapia

Moje relacje z ojcem były coraz lepsze. Co ciekawe, Bogu bardzo zależało na ich pogłębieniu. Któregoś razu zabrakło nam do „pierwszego”. Bóg powiedział: „Zadzwoń do ojca i poproś o pieniądze”. To było dziwne. Mój tata już wtedy miał emeryturę, wyższą od mojej mamy, która przez większość czasu pracowała na dwa etaty, żeby związać koniec z końcem. To dopiero uświadomiło mi, jakie zarobki przepijał przez całe życie. Pamiętałam jednak ciągle o tym, że tata nigdy nie był hojny.

Któregoś razu, dawno temu, gdy mieszkałam z rodzicami jako już dorosła, pracująca kobieta, nie miałam drobnych pieniędzy na bilet miejski, a bałam się, że jak rzucę kierowcy banknot, to odmówi mi sprzedaży biletu w autobusie. Kiedyś tak było, że trzeba było mieć wyliczoną gotówkę. Zapytałam taty, czy nie ma drobnych. Wyciągnął 5 złotych i mi je dał, mimo że bilet kosztował dużo mniej. Byłam tym taka poruszona, że nadłożyłam drogi, żeby rozmiąć swój banknot w sklepie, a pięć złotych od taty nosiłam długo, długo w portfelu „na szczęście”, jak przysłowiowy grosik. Teraz miałam poprosić o 100 razy więcej i jeszcze zachęcał mnie do tego Bóg. Zupełnie jakby coś chciał mi pokazać. Zadzwoiłam. Zapytałam. Odpowiedź ojca przeszła wszelkie moje oczekiwania. „Oczywiście, bardzo dobrze, że dzwonisz. Już się ubieram i idę do banku wypłacić pieniądze. To żaden problem. Cieszę się, że do mnie zadzwoniłaś.” Odłożyłam

słuchawkę i długo siedziałam w ciszy. A Bóg był taki ucieszony: „A nie mówiłem...” Byłam zupełnie zaskoczona. I nie chodziło już zupełnie o pieniądze, tylko o to coś, czego nie można kupić za żadną kasę, o szczerą troskę. Znałam to z relacji z Bogiem, ale nigdy nie doświadczyłam tego tak wyraźnie od mojego ojca. Gdy otrzymałam pieniądze i zadzwoniłam, żeby podziękować za pożyczkę, mój tata zrobił mi jeszcze jedną niespodziankę. Mówił, że tak się spieszył do tego banku, że aż nie powiedział mi, że to nie jest pożyczka. Nic nie muszę oddawać i że się cieszy, że może pomóc. Dopiero jakiś czas później dowiedziałam się, że w tamtym miesiącu tata dostał jakieś wyrównanie za mieszkanie i musiał dopłacić kilkaset złotych do czynszu. Szedł do banku i bał się, że po tej dopłacie nie będzie miał wystarczającej kwoty. Był taki szczęśliwy, gdy okazało się, że może wybrać tyle, ile potrzebuję. Mówił mi potem, taki radosny: „Myślałem, że nie będzie tych pieniędzy, a były. Dzięki Bogu”. Dopiero wtedy dodałam sobie wszystko w głowie i zrozumiałam, że po tym jak wypłacił pieniądze dla mnie, zostało mu kilkadziesiąt złotych na dwa tygodnie zakupów. Sam jadł chleb z pasztetową i gotował zupki, ale gdy go potrzebowałam, chciał mi pomóc. Myślę, że dla nas obojga to była bardzo ważna lekcja.

Jakiś rok później siedzieliśmy w kuchni w domu rodziców. Rozmawialiśmy. Jak zawsze o wszystkim. Powiedziałam tak po prostu, że marzę o zrobieniu kursu ceramicznego. Wtedy od dwóch lat zajmowałam się rękodziełem, a ceramika była dla mnie czymś z pogranicza cudu Szklwienie, lepienie, wypalanie. Magia. Opowiadałam o tym tacie tak jak o każdej z moich pasji. Tym razem tata słuchał i słuchał. Po czym spojrzał na mnie oczami błyszczącymi od wzruszenia i powiedział: „Chciałbym spełnić twoje marzenie”. Usłyszałam to i zamarłam. W ciągu tego roku mój tata stał się bardzo szczodry. A to kupił moim chłopcom książki do szkoły, plecaki albo coś praktycznego. Kiedy przyjeżdżaliśmy, to miał dla nas przygotowane torby z kompotami, powidłami, słodyczami. Wiedziałam, że teraz oddałby mi ostatnią koszulę, ale te jego słowa ucieszyły mnie najbardziej. Moje marzenia? Mój tata chciał spełnić moje marzenia. Jak mu powiedzieć, że one spełniły się właśnie w tej chwili.

Zacząłam tłumaczyć: „To tylko taka pasja i w dodatku droga. Nie mogę założyć warsztatu ceramicznego.” A tata zdziwiony pyta: „Dlaczego?” Dla niego moje rękodzieło było siódmym cudem świata. Próbowałam dalej perswadować: „Żeby mieć warsztat, muszę mieć specjalny piec do wypalania”. No to tata rzucił od razu: „To ja ci go kupię”. Zaśmiałam się szczerze i tłumaczyłam, że piec kosztuje nawet kilkanaście tysięcy i głupotą byłoby inwestować w niego bez pewności, że będę miała go choćby gdzie wstawić. Jednak tata nie dawał za wygraną. Chciał spełnić moje marzenia. Przekonując go, że wkładanie pieniędzy w warsztat jest bez sensu, powiedziałam pochopnie, że teraz bardziej potrzebujemy samochodu do pracy niż pieca. Dla taty to było to. Za miesiąc kupił zielonego Forda Mondeo kombi. To nie był drogi samochód, ale służył nam dobrze. Mogliśmy dzięki niemu częściej odwiedzać rodziców. Pakowaliśmy się i za godzinę byliśmy na obiedzie u taty. A moje marzenia spełniły się i tak, choć nie skończyłam wymarzonego kursu ceramicznego. Zamiast tego miałam chwile z moim tatą. I to tatą, który się troszczy, dla którego są ważne moje marzenia.

Tylko jedna rzecz kładła się cieniem na nasze relacje. Moi rodzice jakby zamienili się rolami. Mama piła coraz bardziej. Teraz ojciec musiał wejść w nową dla siebie rolę. Nie jestem naiwna i wiem, że zawsze miał problem z pićm i ciągle popijał, ale po raz pierwszy mógł zobaczyć, co znaczy życie po drugiej stronie barykady. Byliśmy przyjaciółmi i byliśmy ze sobą blisko, a jednak byłam przerażona, zmagając się z narastającym uczuciem, że znów jestem włączana w konflikt moich rodziców. Miałam 38 lat i swoją rodzinę, a ciągle czułam się jak przedszkolak, gdy chodziło o problemy moich rodziców. Mój tata zrzucał na mnie swoje frustracje, bo sam sobie

nie radził, ale jak ja miałam sobie poradzić z tą sytuacją.

Był maj 2011 rok. Jeden telefon od ojca zmienił wszystko. Najpierw „gadka szmatka”. Co tam u was... co tam u nas. I na moje pytanie „Co słyhać?” dostałam szokującą odpowiedź. Ktoś widział mamę i tu nastąpił cały opis sytuacji... po czym opowiedział to ojcu na ulicy. Nie chcę pisać tego, co się wtedy stało, bo do tej pory jest to dla mnie niepojęte i bolesne. Pomimo tego, że szczerze dzielę się wszystkimi swoimi wspomnieniami i uczuciami, jest pewna granica emocjonalnego ekshibicjonizmu, której nie mam zamiaru przekraczać, a ta granica przebiega na linii moich relacji z mamą. Ta granica jest jeszcze bardzo krucha i czasami czuję się jak tancerka na linie, która do utrzymania równowagi ma tylko nieporadną dziecienną parasolkę. Balansowanie wymaga takiego skupienia, że mogę jedynie widzieć najbliższy punkt przed sobą i nie jestem w stanie przewidzieć, jaki będzie następny ruch. Nie umiem spojrzeć z dystansu. Ta jedna rozmowa z ojcem wstrząsnęła moim światem. Co więcej, czułam, że tata zwiększa wymiar ujawnianych spraw, żeby wyrzucić na mnie ciśnienie, żeby coś zrobiła. Ale co? Co może zrobić dziecko dwójki dorosłych ludzi, którzy nie potrafią się dogadać? Czułam się winna. Zła na siebie, że nie umiem nic zrobić. Dokuczalo mi nadmierne poczucie obowiązku. Musiałam porozmawiać z kimś, kto się na tym zna. Zawsze miałam wsparcie w moim mężu, ale teraz czułam potrzebę porozmawiania z kimś, kto nie tylko mnie wysłucha, ale też będzie w stanie mnie zrozumieć i mi pomóc.

Dzięki przyjaciółce znalazłam kontakt do terapeutki poradni antyalkoholowej. Umówiłam się na spotkanie. Poradnia była w tym samym budynku, w którym mieściła się biblioteka miejska i różne zakłady usługowe. Stałam pod drzwiami gabinetu i czekałam na godzinę spotkania. Ktoś przechodząc, skomentował „Taka młoda, a już pije”. Zupełnie jakbym to ja miała problem. Prawie odwróciłam się na pięcie i uciekłam. Byłam bliska paniki. Bałam się i nie potrafiłam zdefiniować, dlaczego. Gdyby nie moja przyjaciółka, która umówiła spotkanie, już by mnie tam nie było. Ale nie mogłam tak zrobić, w końcu sama szukałam pomocy.

Usiadłam w gabinecie z panią Grażyną i po kilku chwilach złapałam oddech. Wiedziałam, że znalazłam kogoś, kto rozumie moją sytuację i to, co się ze mną dzieje. Pytałam, co zrobić i opowiedziałam zawile losy mojej rodziny. Po godzinie rozmowy usłyszałam najbardziej uwalniające słowa dotyczące mojego problemu. „To nie jest twoja wina”. Kamień spadł mi z serca. Terapeutka na moje pytanie, co ja powinnam zrobić, odpowiedziała pytaniem: „A co ty chciałabyś zrobić?”. To taka niby subtelna zmiana, a jednak nigdy nie myślałam, że moje uczucia i decyzje są w jakiś sposób ważne i mają znaczenie. Nie było już ważne, co ja muszę zrobić, ale co chcę. Na co mnie w tej chwili emocjonalnie stać lub co jestem w stanie zrobić. Nie wiem, czy ktoś potrafi zrozumieć człowieka, z którego ktoś zdejmuje odpowiedzialność za alkoholizm drugiej osoby. Ja poczułam się tak, jakby ktoś zwrócił mi moje życie i zdrowy rozsądek. Poczułam też, że nie jestem sama na świecie, że ludzi z podobnymi problemami jest wielu i to złagodziło trochę moje poczucie osamotnienia, z którym borykają się prawie wszyscy ludzie zamknięci i ograniczeni przez własny wstyd.

Jednocześnie ta rozmowa odnowiła we mnie wszystkie najgorsze wspomnienia. Przebaczyłam mojemu tacie. Nawiązałam z nim bliską relację i doświadczałam ogromnej rekompensaty za utracony czas. Ale w tamtej chwili tak jakby ktoś przerwał tamę i fale wspomnień zalewały moją pamięć. Musiałam sobie jakoś z tym poradzić. Zgodziłam się na dalsze spotkania z terapeutką.

Po pierwszym spotkaniu chodziłam po domu z kąta w kąt. Mąż patrzył na mnie z niepokojem i

martwił się, że ta cała terapia nie wyjdzie mi na dobre. Snułam się po domu i wołałam w duszy do Boga: „Tatusiu, gdzie jesteś?” Musiałam coś zrobić, żeby zebrać i ujarzmić te wspomnienia. Usiadłam do komputera i zaczęłam pisać. Tak się zaczęło. Próbowałam odzyskać stracony czas. Moje wspomnienia były tak inne od moich uczuć. Nie byłam już przecież zagubionym dzieckiem, byłam córeczką Tatusia. Gdy opowiadałam terapeutce o moim dzieciństwie, trochę więcej, niż piszę to tutaj, powiedziała szczerze, że po takich doświadczeniach najprawdopodobniej mam tyle mechanizmów obronnych, że tak naprawdę nie znam siebie samej. Tej prawdziwej siebie. Rozumiałam to, co mi tłumaczy. Role, jakie przyjmują dzieci alkoholików i mechanizmy, które wpływają na życiowe wybory. Tylko że ja czułam się prawdziwa, będąc sobą. Nie potrzebowałam innej siebie. Lubiłam tę Kasię, którą byłam.

To moje pisanie było jak kartka papieru, na której spisuje się „za i przeciw”. Było poszukiwaniem mojej tożsamości i tego, kim jestem. A że już zrozumiałam, że to, kim jestem, zależy od tego, do kogo należę, zaczęło się moje szukanie odpowiedzi.

Najwięcej działało się ze mną pomiędzy spotkaniami z terapeutą. Na drugim spotkaniu usłyszałam pytanie o swoje uczucia. To było jak zaproszenie dla Ofiary Losu. Przeprosiłam i powiedziałam, że nie chcę rozmawiać o uczuciach. Możemy rozmawiać, ale bez analizowania emocji i rozczulania się nad sobą. Ten etap był dla mnie skończony. Skończyło się na tym, że usłyszałam wiele pytań, na które odpowiedź znałam tylko ja. Choćby dla tych celnych pytań warto było pójść na terapię, ale odpowiedzi musiałam szukać sama. To było moje zadanie domowe.

Jak nigdy zatęskniłam, żeby zmienić swoją historię. Miałam takiego dobrego ojca. Nasze relacje były naprawione. Byliśmy oboje pewni swojej miłości. A moje wspomnienia z dzieciństwa tak nie pasowały do obecnego czasu. Zamarzyłam, żeby utrwalić siebie nie jako córkę alkoholika, ale Tatusiową córeczkę. Kochającą i kochaną. Moja historia zaczęła się jak dramat, ale z optymistyczną pointą.

Pisałam zdanie po zdaniu. Rozdział po rozdziale. Poczułam niewymowną ulgę. To coś w rodzaju takiego uczucia, gdy coś krąży po twojej głowie i wiesz, że nie możesz o tym przestać myśleć, bo wypadnie z twojej pamięci. Tak jak w drodze na zakupy, gdy nie spiszysz listy na kartce. Ciągłe skupiasz się i przypominasz sobie: masło, ser, papier toaletowy... Ale gdy masz wszystko napisane na kartce i mocne postanowienie, że nie dasz się skusić żadnym okazjom, promocjom, bonusom, to możesz myśleć o niebieskich migdałach, a zakupy są czymś mechanicznym. Właśnie tak podobnie się czułam, spisując moje wspomnienia. Jakbym robiła listę i uwalniała moją pamięć. Mogłam to wypuścić w końcu ze swojej głowy, bo każde kliknięcie klawiatury zapisywało wszystko to, co warte zapamiętania już nie w mojej pamięci, a w pamięci mojego laptopa. Co za ulga!

Ciągle zadawałam sobie pytanie o swoją tożsamość. Chodziłam na terapię dla Dorosłych Dzieci Alkoholików, a jednocześnie zupełnie nie pasowałam do tej definicji. Byłam skłócona sama z sobą. Zagubiona. Nawet nie wiedziałam, jak ważne były dla mnie odpowiedzi na pytania, które sobie zadawałam. Aż pewnego dnia Tata zadał mi coś w rodzaju zagadki. Mówił do mnie „Kasiu, wyobraź sobie, że jest dziecko, które urodziło się w patologicznej rodzinie. We wczesnych latach swojego dzieciństwa doświadczyło wielu złych rzeczy. W końcu jako małe dziecko zostało zabrane rodzicom i przekazane do adopcji do kogoś, kto pokochał je całym sercem. Poświęcał dla niego czas, tulił, okazywał miłość, słuchał, zachęcał do marzeń. Dziecko dorosło i musiało określić swoją przynależność. Jak myślisz, czy wybierze się więzi biologicznej czy

miłość rodziców adopcyjnych?” Myślałam długo i nie widziałam żadnej jednoznacznej odpowiedzi. W końcu powiedziałam „Nie wiem. To zależy tylko od tego dziecka, co wybierze”. A Tata na to odpowiedział „No, właśnie...,” pozwalając żebym powoli zrozumiała, że oto stoję przed wyborem, w którym to ja sama zdecyduję o swojej tożsamości. Mogłam rozpamiętywać swoją przeszłość i być Dorosłym Dzieckiem Alkoholika. A mogłam też z całą wdzięcznością przyjąć do wiadomości, że zostałam przyjęta, zaakceptowana, zaadoptowana przez Boga i stałam się Jego Tatusiową córeczką. Nie miałam już problemów z decyzją. Poszłam na kolejne spotkanie z moją terapeutką z zupełnie lekkim sercem. Usiadłam w jej gabinecie i spytałam szczerze: „Proszę mi powiedzieć, czy każdy, kto ma rodzica alkoholika, musi być DDA?” „Nie” — odpowiedź mnie zaskoczyła. Opowiedziałam przypadek, jaki powiedział mi Tata i usłyszałam od mojej terapeutki, że to rzeczywiście jest kwestia wyboru. „To ja teraz decyduje, że nie chce być dzieckiem alkoholika” — powiedziałam uroczyście. Opowiedziałam pani Grażynie o mojej relacji z Bogiem jako moim Ojcem i co to dla mnie znaczy. Nawet nie wyglądała na zaskoczoną. Musiała już w życiu spotkać gorszych świrów. Miałam szczęście trafić do mądrej terapeutki, która widząc moją determinację, po prostu stwierdziła, że jej zdaniem nie potrzebuję już dalszej terapii, że świetnie sobie radzę. Miałam wrażenie, że nagle przeskoczyłam na samą metę. Bingo! Rozbiłam bank. Jestem Tatusiową córeczką.

Nigdy nie powiem, że terapia nic nie wniosła w moje życie. Dała mi wiedzę i zrozumienie choroby alkoholowej. Uwolniła mnie od niezdrowego poczucia obowiązku. Zwolniła mnie z wiecznego przekonania o swojej winie. Uświadomiła mi, że myślenie o tym, że byłam niewystarczająco dobra żeby poradzić sobie z nałogiem moich rodziców, było niesprawiedliwe i szkodliwe. Na sam koniec już nieformalnie moja terapeutka pozwoliła sobie na osobisty komentarz: „To nawet fajne i pomocne wierzyć, że jest jakaś siła wyższa nad nami. Nawet jeśli popełnimy błąd i się potkniemy, to zawsze możemy sobie powiedzieć, że Bóg tak chciał”. Spojrzałam na nią ze zdziwieniem. Odrobinę rozczarowana tym, że mnie dobrze nie zrozumiała, powiedziałam łagodnie: „Wierzę w Boga, który jest dobry. On jest moim Ojcem i nigdy nie uwierzę, że On jest tym, który będzie czerpał satysfakcje z moich potknięć. Nie wierzę, że mój Ojciec może chcieć tego, żebym upadła. Myślę, że On właśnie będzie pierwszym, który podbiegnie do mnie, żeby mnie podnieść i uratować”. Zupełnie nie potrafię sobie wyobrazić, jak mój Tata mógłby być tym, który chce tragedii w naszym życiu. Spotkało mnie wiele złych sytuacji, a jednak nie wierzę, żeby cokolwiek z tego było inspiracją Boga. Mój Tata w tych wszystkich strasznych chwilach robił to samo, co ja dawałam moim synom, gdy przychodzili żeby pokazać przetarte kolana. Mówiłam: „Chodź, mamusia podmucha i pocałuje, i zaraz będzie lepiej”. Tak samo Ojciec przytulał mnie, opatrywał moje zranienia, a potem otrząpywał zakurzone kolana i zachęcał: „Spróbuj jeszcze raz. Nie poddawaj się. Będę blisko. Nie wypuszczę cię ze swoich ramion!”

Rozdział 13

Przepraszam

Mój tata, w czasie gdy ja przechodziłam przez terapię, wyjechał na kilka tygodni do mojego brata do Anglii. To był dla niego niezwykły czas. Zawiozłam go z mężem na lotnisko i wsadziłam

do samolotu. W Londynie spędzał wakacje z moją małą bratanicą i opiekował się bratową, która walczyła z mdłościami w pierwszych tygodniach kolejnej ciąży. Gotował obiady. Pomagał jak umiał. Po powrocie powiedział, że ten wyjazd starczy mu na całe życie, bo leciał samolotem, przepłynął morze i przejechał przez całą Europę. Ale i tak najważniejsza była Zuzia, ukochana wnuczka dziadziusia. Dla niej pojechałby nawet na koniec świata.

Spotkaliśmy się po powrocie i od razu pokłóciliśmy się o mamę. Dosłownie kilka godzin przed przyjazdem mojego brata z rodziną, pogotowie zabrało moją mamę do szpitala. Stwierdzono udar mózgu. Siedzieliśmy z moim bratem w samochodzie po wyjściu z intensywnej terapii i po raz pierwszy od bardzo długiego czasu wracaliśmy do naszego dzieciństwa. Rozmawialiśmy szczerze o życiu, rodzinie, dzieciach. To był wyjątkowy moment.

W następnych tygodniach mama wracała szybko do zdrowia. Minął prawie całkowicie niedowład prawej ręki. Znowu radziła sobie sama ze wszystkim. Miałam ogromną nadzieję, że to będzie zwrot w jej życiu. Zaczęła mi składać obietnice, że już wszystko będzie dobrze, że nie muszę się martwić. Gdzieś podczas tych wszystkich wydarzeń miała miejsce pewna rozmowa z moim tatą. Siedzieliśmy w kuchni i ojciec próbował rzucić na mnie swoją frustrację z powodu swoich problemów z mamą. Zamknęłam temat. Nie chciałam tego słuchać, bo nic nie mogłam zrobić. Powiedziałam tylko, że cokolwiek tata postanowi, będę go wspierać, ale nie mogę go wysłuchiwać, bo to mnie niszczy. To niczemu nie służy i nic nie zmienia. Gdy tata się bronił, stwierdziłam tylko, że teraz on ma to, co fundował nam przez całe lata, że kocham go, ale to nie zmienia faktu, że w pewnym sensie zbiera konsekwencje tego, co sam zaczął. Zbiera to, co zasiał. Patrzył na mnie, jakbym spadła z księżycy, bo nie rozumiał, dlaczego porównuję te dwie sytuacje. Wtedy zaczęłam jedna po drugiej opowiadać mu, jak uciekałam do sąsiadek wzywać policję, jak musiałam po nim sprzątać klatkę schodową, jak leżał pijany z twarzą w talerzu, a jego kumpel przychodził do mnie do pokoju i pijany nawijał mi godzinami, jaką k... jest moja matka, to był cud, że nigdy nie stała mi się jakaś większa krzywda, bo byłam tylko bezbronną małą dziewczynką. Mówiłam i mówiłam. Tata patrzył na mnie i tylko powtarzał: „Nie pamiętam tego”. Wstał od stołu i wyszedł bez słowa. Po chwili wrócił i widziałam, że odszedł, żeby ukryć łzy. Spojrzał mi w oczy i tylko powiedział „Tak bardzo cię przepraszam”. Nigdy już nie wracaliśmy do tamtej rozmowy. Wiedziałam, że zrozumiał, jak wiele złego stało się przez jego picie i jak bardzo tego żałuje. Nie byłam już zła, ale to, że po tak wielu latach usłyszałam słowa przeprosin, było dla mnie bardzo cenne. Potrafię sobie przypomnieć wyraz oczu mojego taty, gdy zdał sobie sprawę z tego, że choć tak bardzo się stara, to są sprawy, których już nie można zmienić, można tylko przeprosić i liczyć na wybaczenie. Ten moment zapamiętałam jako bezcenny dla mnie. Byłam całkowicie wolna od żalu.

Był 24 listopada 2011. Dzień wcześniej byłam na wywiadówce u synów. Wyciszyłam telefon w szkole i zupełnie zapomniałam go włączyć. Wiedziałam, że coś się stało, gdy zobaczyłam na wyświetlaczu kilkanaście nieodebranych połączeń. Ledwie włączyłam komórkę, zadzwoniła mama. Siedziałam w swojej kuchni i trochę zaniepokojona odebrałam połączenie. Usłyszałam „Mam dla Ciebie smutną wiadomość. Tata nie żyje. Zmarł dziś w nocy na zawał”. Musiałam się rozłączyć. Nie mogłam złapać oddechu. Byłam oszołomiona, nie dochodziła do mnie ta wiadomość. Zamknęłam się w pokoju. Nie mogłam płakać. Nie mogłam mówić. Nie mogłam oddychać. Mijały minuty, a do mnie dobijały się myśli: „Już nigdy...” i jeden obraz, który łamał mi serce. Jedno wspomnienie sprzed kilku tygodni, które sprawiło, że w końcu łzy płynęły mi po policzkach i już nie mogłam ich zatrzymać. Mój tata stojący w przedpokoju. Rozkładający

ramiona, żeby mnie objąć. Zupełnie tak, jakbym nie była dorosłą kobietą, ale jego małą córeczką. Schował mnie w swoich objęciach i wyszeptał mi do ucha: „Nareszcie jesteś”. W dzień śmierci i przez kilka najbliższych dni miałam wrażenie, że tata stoi gdzieś blisko, nieomal widziałam go obok siebie. To czują wszyscy, którzy tracą kogoś ważnego. Zranione serce robi różne sztuczki, żeby oswoić się z żałobą. Musiałam być silna ze względu na dzieci. Ale dopiero ich rozpacz złamała mi serce. Ich pytania i żal były takie bezbronne. Nigdy jeszcze nie przeżyły podobnej straty.

Przez pierwsze dni próbowałam sobie wszystko przypomnieć. Ostatnie spotkanie. Ostatnią rozmowę. Ostatnie słowa. I przypominałam sobie, jak tata na początku listopada zadzwonił do mnie i powiedział: „Chciałem tylko usłyszeć twój głos”. Wydawało mi się, że jestem taka zajęta. Przyjechała do mnie przyjaciółka z Izraela. Potrzebowała pomocy lekarskiej, więc jeździliśmy z nią na umówione wcześniej badania i wizyty w szpitalach. Byłam taka zaabsorbowana Lilach. Była jak powiew egzotyki w mojej szarej, polskiej rzeczywistości. Opowiadałam tacie, że teraz gotuję koszerne potrawy. Chciał wszystko wiedzieć. Długo rozmawialiśmy, aż na sam koniec, gdy się żegnaliśmy, mój tata ze śmiechem powiedział: „No to, szalom”. To były jego ostatnie słowa do mnie.

Szalom to tradycyjne pozdrowienie hebrajskie, ale znaczące dużo więcej niż nasze „dzień dobry” lub „do widzenia”. To życzenie pokoju, błogosławieństwa i wszelkiej pomyślności. Nie mogło być lepszego pożegnania.

Pogrzeb minął nam jak we śnie. Nie byłam w stanie zobaczyć ciała mojego taty w trumnie. Nie chciałam mieć żadnego wspomnienia tego, jak jest martwy. Chciałam pamiętać go tylko żywym. Gdy wchodziłam do kościoła, zobaczyłam klepsydrę z jego nazwiskiem i stanęłam jak wryta. Nie mogłam zrobić ani jednego kroku. Zobaczyłam trumnę w oddali i nie mogłam uwierzyć, że tam jest mój ojciec. Właściwie cały pogrzeb był nierealny. To nie było możliwe. Dopiero odzyskałam ojca, a on znów odchodzi ode mnie. Czy takie było moje przeznaczenie, że zawsze musiał mnie opuszczać?

Pełna świadomość tego, że tata umarł, spadła na mnie, gdy weszłam do domu rodziców. Nie było go. Nie czekał z obiadem. Nie wychodził na schody, żeby nas przywitać. Nie przysiadł już w kuchni, żeby ze mną rozmawiać. W domu zrobiło się tak pusto. Na wieszaku za drzwiami jeszcze wisały rzeczy, które odwiesił tam wieczorem przed śmiercią. W przedpokoju wisała jego kurtka i ulubiony czarny kaszkiet. Na stoliku leżała rozpoczęta krzyżówka i program telewizyjny. Widziałam jego wyprane rzeczy suszące się na sznurku, a jego już nie było. To takie dziwne uczucie. Pustka, w którą trudno uwierzyć. W lodówce były zamrożone kotlety na nasz przyjazd. W szafce poustawiane puszkami po duńskich ciasteczkach. Jedna z paluszkami dla chłopców, druga z ciasteczkami, które lubili chłopcy i specjalna puszka z moimi ulubionymi „wafelkami dla Kasiuni”. Wszystko przygotowane czekało już na nasz przyjazd, ale taty nie było.

Mama zapytała mojego brata i mnie, czy chcemy zabrać jakieś pamiątki. Ale nie było nawet nic specjalnie cennego. Mój brat wziął budzik taty w skórzanym pudełku, który dostał jeszcze od mojego dziadka, gdy poszedł do pierwszej pracy. A ja wyjęłam z kieszeni spodni odwieszonych na wieszaku jeszcze przez tatę, jego portfel. Nie było w nim żadnych pieniędzy, ale nie o to chodziło. To zwyczajny stary, tani, brązowy portfel. Zdaje się, że nawet chyba dostał go ode

mnie na jakieś urodziny lub gwiazdkę kilka lat temu. To nie miało żadnego znaczenia. Dopiero gdy się otworzyło portfel, znajdowało się w nim ukrytą, prawdziwą wartość. W przezroczystych przegródkach poukładane w rzędzie były zdjęcia rodziny. Pamiętałam, jak tata zawsze męczył mnie, żebym mu wysyłała każde zdjęcie legitymacyjne moich synów. Potem układał je w portfelu i wszystkim pokazywał. Chwalił się nami.

Kiedyś mój mąż powiedział mi, że Bóg ma nasze zdjęcia w portfelu. Nie chodzi tu o to, że zależy nam tylko na Jego bogactwie, ale to najlepszy obraz tego, jak jesteśmy ważni i należymy do rodziny. Bóg trzyma w swoim portfelu zdjęcie każdego swojego dziecka. Również twoje, bo jesteś dla Niego ważny. Nie myśl, że ta książka jest tylko o mnie. Ja nie mam monopolu na miłość Ojca. Wiem, że w Jego portfelu jest miejsce na wiele zdjęć. Może Ojciec rozkłada swój portfel tak jak w amerykańskich komediach bohaterowie rozciągają niezliczone przegródki na karty kredytowe. I potem chwali się nami, jak każdy dumny rodzic. Mówi dobre słowa, czasami się zamyśli, czasami westchnie, czasami uśmiechnie. Zawsze kochający. Pamięta imię każdego z nas.

Radziłam sobie ze stratą ojca, bo i tak nie miałam innego wyjścia. Najtrudniej było przed świętami Bożego Narodzenia. Stałam w markecie w kolejce do kasy i przede mną starszy pan wykładał swoje zakupy na taśmę. Patrzyłam na nie, zastanawiając się, co teraz tata kupowałby na święta. Pan przede mną zaczął pogodnie rozmawiać z kasjerką, a ja stałam i łzy same spływały mi policzkach. Tak bardzo tęskniłam. Tygodniami łapałam się na tym, że muszę zadzwonić do taty i coś mu opowiedzieć, a potem uderzała we mnie myśl, że przecież już nie mogę zadzwonić. Brak taty uderzał w najmniej spodziewanych chwilach, na przykład gdy Justyna Kowalczyk walczyła o puchar, a my płakaliśmy, bo dziadek nigdy by tego nie przegapił. Poczucie, że już nigdy się nie spotkamy, zaczęło mnie przytłaczać. Poważnie się rozchorowałam. Z trudem chodziłam.

Rozmawiałam z sąsiadami rodziców i słyszałam pochwalne słowa, jak cudowny był mój tata. Nagle po śmierci stał się aniołem i nikt nie pamiętał o jego ekscesach. Kochałam moją tatę i wiedziałam, że pochlebstwa wkurzałyby go nawet gdzieś tam w życiu po życiu. Mój tata był szczerym, prostolinijnym człowiekiem, cenił prawdę. Całą prawdę. Mój tata wiedział, że nawalił, ale starał się jak mógł naprawić, co się da, zamiast pochwalnych nieprawdziwych treli wolałby, żeby mu szczerze wybaczyć. Tylko wybaczenie jest prawdziwe i oboje z tatą tego doświadczyliśmy.

Po kilku tygodniach trwania w żałobie stałam na nabożeństwie i gdy wszyscy śpiewali, nagle Bóg stanął obok mnie i przemówił delikatnie „Ja Jestem...”. Płakałam, bo pojęłam, że choć mój ziemski tata musiał odejść to jest też Tata, który zawsze będzie. Jego Imię, którym się przedstawia, jest zapewnieniem o stałej obecności. On jest! Nigdy mnie nie zostawi. Popępiałam błąd, zatapiając się w smutku i rozpacz, bo nie zostałam sama. Znow włożyłam moją małą dłoń w wielką dłoń mojego Wszchemogącego Ojca i wiedziałam, że wszystko będzie dobrze. A Tata podniósł mnie wysoko i trzyma. Tuli i pociesza, bo życie biegnie dalej. Dostałam najpiękniejszy dar od Ojca. Odzyskałam miłość mojego taty. Poznałam go i zbudowałam z nim przyjaźń, która na zawsze zostanie we mnie jak cenny skarb. Zanim straciłam moją tatę, otrzymałam miłość, o jakiej marzyłam. Byłam znow córeczką tatusia. Byłam dla niego ważna. Po tylu latach czekania, po tysiącach modlitw, po całym trudzie odbudowywanego zaufania dostałam jak dar ostatnie pięć lat. Miałam wiele szczęścia.

Moja dalsza rodzina jest chyba trochę zniesmaczona, że nie przychodzę na mszę za duszę mojego ojca, ale ja wierzę, że dusza mojego taty ma się naprawdę dobrze. Na początku co miesiąc odliczałam małe, smutne rocznice. Powoli jednak traciłam rachubę czasu. Nie jeździę do rodzinnego miasta i nie chodzę na cmentarz. Zamiast tego co jakiś czas zapalam w domu świecę o zapachu wanilii, pomarańczy lub jabłek z cynamonem. Wiem, że gdy dom wypełni się słodkim aromatem, moje serce ogrzeje się w ciepłe dobrych wspomnień. Jest znów tak jakbyśmy usiedli w jego małej kuchni na rozchybotanych taboretach, pamiętających jeszcze moje dzieciństwo i spędzili chwilę w pełnym zrozumienia milczeniu. Słodkie wspomnienia, jakby ktoś nabierał je łyżkami ze starej cukiernicy na wysokiej nóżce z grubego szkła. Zamiast zostawiać kwiaty na zimnym nagrobku, zaparzam gorącą herbatę, którą jeszcze zmieszał mój tata (tak żałuję, że nigdy nie spytałam, jakie gatunki herbat wysypuje do wielkiej puszki). A po chwili, sącząc bardzo mocną herbatę pachnącą bergamotką, spisuję naszą wspólną historię. Łzy kapią mi na klawiaturę laptopa, ale z każdym wypitym kubkiem herbaty, z każdym napisanym zdaniem jest mi lżej. Słowa są mocniejsze niż kamień. A jeśli są prawdziwe i szczerze, mogą wybiec w przyszłość i zapalić nadzieję. Może moja opowieść zachęci kogoś do tego, że warto spróbować jeszcze raz i zdobyć się na wybaczenie. Dzielę się tym wszystkim z miłością i głęboką wiarą, że moja historia może też dodać otuchy ludziom, którzy jeszcze ciągle próbują zmierzyć się z poszukiwaniem własnej tożsamości. Szukają siebie i czują się sfrustrowani, gdy nie mogą tego dokonać w zawiłościach własnej duszy. Znalezienie siebie to odkrycie więzi przynależności. Określa nas to, do kogo należymy. Zrozumienie tego zajęło mi bardzo dużo czasu, ale gdy to w końcu przyjąłam do wiadomości, to zmieniło moje życie.

Ta historia jest prawdziwa. Trochę zwyczajna, a odrobinę niezwykła. Tym, co zmieniło moje życie, było poznanie Boga i Jego miłości. To dzięki temu znów miałam szansę poczuć się kochaną i odzyskać umiejętność kochania. Ta miłość jest w stanie przygarnąć każdego. To, co w niej wspaniałe, to fakt, że zna odpowiedź na nasze specyficzne potrzeby. Mówi innym językiem do każdego z nas. Pisze inny scenariusz przygody. Tylko Tata potrafi trafić do każdego z nas tak samo, a jednocześnie rozmawiać zupełnie inaczej z każdym ze swoich dzieci.

Mój przyjaciel, który pasjonuje się bieganiem, odkrył, że Bóg jest Ojcem, który go mobilizuje do wysiłku, zachęca do wytrwałości, biegnie z nim ramię w ramię. Jest jego najlepszym Trenerem. Na szczęście nie jest taki dla mnie, bo zawsze byłam na bakier z fitnesssem. Za to pewnego dnia, gdy dostałam długo oczekiwaną przesyłkę z półfabrykatami do tworzenia biżuterii, siedziałam, wgapiając się godzinami w każdy zakupiony kamień i planując, co mogę z niego zrobić. Bóg przyszedł do mnie i powiedział, widząc mój zachwyty, że On też lubi kamyczki. Uśmiechnęłam się, bo nie potrafiłam sobie wyobrazić, że Bóg jest typem „sroki”. do których ja zaliczam się ewidentnie. Na co Bóg powiedział, lekko obruszony: „Nie wierzysz, to zobacz, jak zbudowałem Nowe Jeruzalem”. Otworzyłam Księgę Objawienia i zaczęłam się śmiać. „Kamienie węgielne muru miasta były ozdobione wszelakimi drogimi kamieniami: kamień pierwszy, to jaspis, drugi szafir, trzeci chalcedon, czwarty szmaragd...” (Obj. 21:19). I tak aż do dwunastego — ametystu.

Popatrzyłam tylko z rozczuleniem na małe bryłki minerałów rozsypane na stole. Moje maleńkie okruchy nieba! Nie mają nawet promila wartości szlachetnych kamieni, a mimo to zachwycają swoją naturalną elegancją. Kolejno układałam w głowie kolory murów biblijnego Jeruzalem i wpadłam w zachwyty. To się nazywa styl! Już nie miałam wątpliwości, że Tata zna się na kamykach. Ułożył mury Nowego Jeruzalem w niesamowitą mozaikę w odcieniach ciepłych

brązów, nasyconych błękitów, turkusowych zieleni, fiołkowych fioletołów delikatnych jak mgła. Wiem jedno. Będzie kolorowo. Chcę to zobaczyć.

A jaki klucz Bóg znajdzie do Twojego serca? Jaką pasję będzie dzielił z Tobą?

Bóg zna hasło do duszy każdego z nas i potrafi dotrzeć do naszej wrażliwości w unikalny sposób. Bóg mówi, a my potrafimy Go usłyszeć i odnaleźć drogę do domu.

Czasami jest bardzo praktyczny i rozsądny, przemawia argumentami i oszałamia logiką.

Czasami może być wrażliwy i skupiony. Zrobi wszystko, żeby znaleźć z nami wspólny język, spełnić nasze potrzeby, być dla nas zrozumiałym. Choć jest różny dla każdego z nas, jest ciągle tym samym Ojcem. On jest mądry i potrafi ułożyć język miłości dla każdego ze swoich dzieci.

Zafascynowana Ojcem, opowiadam moją historię jeszcze raz. Wolna od wstydu, nie potrzebuję już przysiąść na trzepaku na moim starym podwórku, żeby powiedzieć prawdę o sobie.

Zamknęłam przeszłość.

Prawda o mnie zawarła się w kilku słowach. Jestem Kasia. Córeczka Tatusia.

POSŁOWIE

Gdy porządkowałam rzeczy mojego taty, znalazłam schowane starannie kartki z kalendarza ściennego, takiego ze zrywanymi codziennie karteczkami. Zawsze się dziwiłam, po co mu takie staromodne ustrojstwo. Nie wiedziałam, że tata odkłada kartki ze wszystkich swoich ważnych dni. Znalazłam tam kartkę z dnia narodzin moich i brata, dni naszych ślubów i narodzin wnuków. Te małe skrawki papieru wyrażały wszystkie uczucia, tak skrywane przez lata.

Jeśli mój tata, tak niedoskonały, potrafił zobaczyć szczególną radość z narodzin dzieci, to wyobraź sobie, z jakim przepychem wyraża swoje szczęście nasz Ojciec w niebie. Jak wielką miłość widać w Jego twarzy, gdy pochyla się nad każdym narodzonym dzieckiem. Możesz też narodzić się dla Niego. Wybrać Go.

Tu nie chodzi o religię, ale o znalezienie Ojca. Wdrapanie się na Jego kolana i znalezienie poczucia bezpieczeństwa w pewności, że On Jest. Jeśli tego pragniesz, ale nie wiesz, jak to zrobić, możesz pomodlić się taką prostą modlitwą. A co będzie dalej, stanie się już Twoją własną przygodą. Poznawaj Ojca i nigdy, przenigdy, nie przestawaj wątpić w to, że On jest dobry i tylko dobry!

Boże, chcę żebyś został moim Ojcem. Przyjmuję Ciebie i to, co z miłości do mnie wykonał Jezus na krzyżu. Wiem, że to był dowód miłości do mnie i przyjmuję go z wdzięcznością. Pomóż mi poznawać Ciebie i rozumieć Twoje drogi. Chcę słyszeć, jak do mnie mówisz i mnie pocieszasz. Potrzebuję Ciebie, Tato i wiem, że jesteś zawsze dobry. Wybieram Ciebie. Amen.

P.S.

I pamiętaj, że Tata ma już twoje zdjęcie w portfelu!



Zawsze będę Cię kochać...
Twoja Kasia

